

Spotkanie z Kazimierzem

Piszą m. in.:

Bohdan Czeszko
Benedykt Jerzy Dorys
Maria Kuncewiczowa
Mieczysław Kurzątkowski
Bohdan Lachert
Stanisław Jan Lazorek
Tadeusz Michalak
Zygmunt Stepiński
Jan Zamojski



Fot. Waldemar Stepien

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamienia

LUBLIN 21 VI 1981 NR 13 (733)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

PL ISSN 0137-7108

CENA 3 ZŁ

PRZED NADZWYCZAJNYM...

Socjalizm — cele i środki

Sławomir G. Kozłowski

W LITERATURZE, i to nie tylko popularyzatorskiej, ale także w potocznych opiniach dotyczących gospodarki socjalistycznej, występuje powszechnie pomieszanie pojęć związanych z socjalizmem. Najistotniejszym błędem wszelkich rozważań poświęconych temu tematowi jest nierozróżnianie celów, jakie stawiane są przed socjalizmem, i środków ich realizacji, środków, które nie mogą być przyjęte a priori i wymagają potwierdzenia w praktyce społecznej. O ile bowiem cele socjalizmu są pewnymi trwałymi wartościami, o tyle środki ich realizacji zmieniają się

nie tylko w procesie rozwoju społecznego, lecz również są odmienne w zależności od specyfiki narodowej, tradycji historycznej, cech struktury społecznej różnych krajów. Marksizm, jako materializm dialektyczny i historyczny, od tych specyficznych cech abstrahować nie może, i nie może też proponować jednolitego wzorca rozwojowego. Takie wzorce ma bowiem wszelkie cechy dogmatu i jest sprzeczny z najistotniejszymi cechami marksizmu jako filozofii społecznej.

Dokończenie na str. 14—15

Kazimierz bez dekoracji

Ireneusz J. Kamiński

O BECNY numer „Kamienia” niemal w całości poświęcony jest Kazimierzowi Dolnemu, który w czerwcu obchodzi 800-lecie istnienia, ustalone dość umownie, na podstawie wzmianki w dokumentach kościelnych z początku i połowy XIX stulecia. Przygotowując publikację, skorzystaliśmy z pomysłu międzywojennych „Wiadomości Literackich”, które w numerze z 8 stycznia 1939 roku obszernie przedstawiły Kazimierz i jego miejsce w kulturze polskiej, drukując artykuły i liryczne impresje takich m. in. autorów, jak Wacław Huraszki, Maria Kuncewiczowa, Alfred Lauterbach, Tadeusz Pruszkowski, Adolf Rudnicki, Anatol Stern, Ewa Szelburg-Zarembina, Konrad Winkler, Adam Ważyk... Zwróćmy uwagę na jeden z tych tekstów, napisany przez A.

Lauterbacha, jako że prowokuje on żywe emocje nawet dzisiaj, ponad 40 lat od momentu publikacji.

Wybitny historyk sztuki, znawca epoki stanisławowskiej, nie bawi się w sentymenty, lecz chłodnym okiem obserwuje kazimierską codzienność. „Tu można odetchnąć szeroko, można malować, pisać lub próżnować, ale żyć trudno”. Miasteczko liczy wtedy około 5 tys. mieszkańców, którzy z trudem wiążą koniec z końcem. W okolicy nie ma fabryk, rzemiosło w zaniku, biedota gospodarzy w pobliskich wioskach. Głównym źródłem dochodów dla obywateli kazimierskich są letnicy, lecz ich finansowa obecność nie jest w stanie rozwiązać głównych problemów

Dokończenie na str. 12—13

WSPÓŁCZESNY TERRORYZM

Roman Tokarczyk

TERRORYZM nigdy nie cieszył się dobrą sławą. W języku obiegowym określany jest najczęściej jako „bezsensowne akty przemocy”, „szaleńcze poczynania”, „irracjonalna przemoc”, „bandytyzm polityczny”. W opinii prawników akty terrorystyczne należą do przestępstw wymierzonych przeciwko państwu i zmierzających do wywołania stanu zagra-

żenia poszczególnych ludzi bądź nawet całych zbiorowości. Według tych opinii, akty terrorystyczne to czyny powodujące śmierć, uszkodzenie ciała albo utratę wolności przez osobistości oficjalne. Dla wielu zainteresowanych anatomią zjawiska klucz do jego zrozumienia tkwi w rozróżnieniu pomiędzy „terrorem” a „terroryzmem”. Zarówno terror jak i terroryzm kojarzą

się z paraliżującym strachem, trwogą, przerażeniem, grozą, stosowaniem przemocy, okrucieństwem, rozlewem krwi, zastraszaniem przeciwników i skrajnymi napięciami w stosunkach międzyludzkich. Gdy jednak terror łączony jest z władzą legalną bądź pretendującą do legalności, terroryzm zwraca się przeciwko tej władzy, stając się szczególnym kontrterrorem.

Terror znany był całej niemalże dotychczasowej historii ludzkości, natomiast terroryzm jest znamieniem współczesności. Terror był narzędziem silnych posiadaniem władzy, terroryzm to nie przebiegająca w środkach przemocy słabych, często bezsilnych, pogardzanych i desperacko zrozpaczonych. Terror osłaniany szatami legalności dąży do umacniania władzy państwowej, terroryzm właśnie w tę władzę godzi, wystawiając ją na szwank, osłabienie i osłabienie. Terroryzm jest kwestionowaniem państwowego monopolu przemocy.

Dokończenie na str. 14—15

Z uchwały XI Plenum KC PZPR

W DNIACH 9-10 czerwca odbyło się w Warszawie XI Plenum KC PZPR. Referat Biura Politycznego wygłosił Stanisław Kania. W czasie dyskusji zarysowały się różnice stanowisk wobec podstawowych problemów naszego kraju i sposobów rozwiązywania narastających trudności. Propozycja w sprawie przeprowadzenia głosowania nad wotum zaufania dla Biura Politycznego upadła większością 89 głosów (24 osoby były za, 5 wstrzymało się od głosu). Jak stwierdziła Polska Agencja Prasowa, „wielu działaczy kwestionowało celowość ewentualnej zmiany kierownictwa partii podkreślając przede wszystkim fakt szerokiej aprobaty dla linii porozumienia i odnowy socjalistycznej”.

Uchwała XI Plenum KC PZPR głosi m. in.:

„Komitet Centralny PZPR potwierdza wolę kontynuacji dzieła odnowy socjalistycznej, zapoczątkowanej na VI Plenum KC. Odnowie tej zagraża nasilający się kryzys polityczny, społeczny i gospodarczy. Podejmowane dotychczas środki opanowania kryzysu nie przyniosły pozytywnych rezultatów. Stale pogarsza się stan gospodarki, komplikuje się coraz bardziej sytuacja polityczna, potęgując zagrożenia o charakterze kontrrewolucyjnym dla istnienia ustroju socjalistycznego w Polsce. Destabilizacja państwa i gospodarki podrywa pozycję Polski jako wiarygodnego partnera na arenie międzynarodowej, narusza jej dobre imię i pozycję we współpracy państw socjalistycznych.

„Wszyscy członkowie partii, wszyscy Polacy muszą być świadomi historycznej odpowiedzialności, jaka spoczywa obecnie na naszym państwie i narodzie. Od tego, czy Polska będzie nadal silnym państwem socjalistycznym, zależy bezpieczeństwo granic, niepod-

ległość i suwerenność Polski, a także układ sił w Europie i na świecie.

„Polska była, jest i pozostanie państwem socjalistycznym...”

„Przyjaźń i sojusz ze Związkiem Radzieckim jest kamieniem węgielnym polskiej polityki zagranicznej...”

„Umocnić będziemy współdziałanie polityczne i wojskowe w ramach Układu Warszawskiego, zdecydowanie rozwijać będziemy wzajemnie korzystną współpracę w ramach Rady Wzajemnej Pomocy Gospodarczej...”

„Z zaufaniem odnosimy się do opinii i wniosków bratnich partii w kwestiach dotyczących żywotnych interesów międzynarodowego ruchu robotniczego, a zwłaszcza obrony socjalizmu. W tym też duchu Komitet Centralny PZPR przyjął list KC KPZR, otwarty i nacechowany troską o rozwój sytuacji w Polsce, o zachowanie podstawowych wartości socjalizmu w naszym kraju.

„Komitet Centralny PZPR przyjął polityczne metody rozwiązywania konfliktów społecznych jako generalną linię działania partii...”

„Komitet Centralny PZPR zdecydowanie odrzuca rewizjonistyczne koncepcje likwidacji kierowniczej roli partii, sprowadzenia jej funkcji przewodniej wyłącznie do sfery ideowo-moralnej, pozbawienia jej instrumentu władzy politycznej. (...) Jednocześnie KC podkreśla konieczność przezwyciężenia poglądów i postaw zachowawczych, utrudniających odbudowę wlezi partii z masami.

„Prasa, radio i telewizja mają obowiązek rzetelnego informowania społeczeństwa, nie tylko odzwierciedlania, ale i kształtowania opinii publicznej, zgodnie z interesem społeczeństwa i socjalistycznego państwa.

„Rząd i organa porządku publicznego — w oparciu o obowiązujące prawo — powinny wyciągać konsekwencje w stosunku do wszystkich osób prowadzących działalność godzącą w podstawowe interesy państwa i narodu...”

Pełny tekst uchwały przyniosła codzienna prasa. Do wniosków, wypływających z XI Plenum KC, powrócimy na naszych łamach.

Czesław Miłosz w Lublinie

10 bm. przybył do Lublina Czesław Miłosz. Laureat literackiej Nagrody Nobla spotkał się z uczestnikami Ogólnopolskiej Studenckiej Sesji Kół Polonistów.

Następnego dnia odbyła się uroczystość nadania Miłoszowi tytułu doktora honoris causa Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Uchwałę w tej sprawie odczytał dziekan Wydziału Humanistycznego KUL, prof. dr hab. Zygmunt Sułowski. Przemówienie promotorskie wygłosiła prof. dr hab. Irena Sławińska.

Dziękując za wyróżnienie autor „Traktatu moralnego” powiedział m.in.: „Czuję się jak uczeń, który zasnął nad książką, a kiedy się obudził — okazało się, że ma doktorat i zastanawia się, jak to się stało...”

Po południu Czesław Miłosz (m.in. w towarzystwie prezesa ZG ZLP, Jana Józefa Szczepańskiego) złożył kwiaty na grobie Józefa Czechowicza.

Wieczorem odbył się spektakl poetycki „Poeci i aktorzy polscy w hołdzie Czesławowi Miłoszowi”. Wiersze recytowali G. Hołubek, D. Olbrychski, K. Kolberger, M. Voit i A. Szczepkowski.

NA EKSPANS

Codaleje!

PREKURSOREM codaleizmu był, jak przy- paszczam, Hans Fallada, który w 1932 r. napisał powieść Kleiner Mann — was nun? W nieco poetyckim przekładzie tytuł ten spolszczono na I co2 dalej szary etc. wieku? i tak dzieł pani Wisłowskiej, autorki przekładu, dotarły do nas codaleje. Rozpamiętały się w publikacjach, które coraz częściej zaczęły pytać „co dalej?”. Czytelnicy domyślają się już zapewne, że piszę o tytułach, które zaczynają się (codaleje przednie) lub kończą (codaleje zadnie) zwrotem „co dalej?”.

Pierwszym znanym mi kolekcjonerem codalejów był warszawski rzeźbiarz A. Goryński. Na początku lat siedemdziesiątych zgromadził on pokazny zbiór. Od niego przejąłem to hobby. Przez dziesięć lat traktowałem je po amatorsku, tak jak dzieci traktują zbieranie znaczków czy etykiety zapieczonych. Mimo nieprofesjonalnego podejścia zaczęłam postrzegać pewną prawidłowość. Częstość występowania codalejów nie była stała. W czasach umiarkowanego dobrobytu i spokoju były rzadsze, gdy zaczynało być kruchy, pierwszym zwiastunem stawały się codaleje.

W przekonaniu o słuszności tej tezy utwierdził mnie J. Szpakowski. Opublikował on w „Odra” (nr 3 z 1976 r.) artykuł Bez znaku zapytania? Zwrócił w nim uwagę na zjawisko szerzenie codaleizmu — modę formułowania tytułów prasowych w trybie pytającym. Jak obliczył, w końcu stycznia 1976 r. w czterech warszawskich gazetach średnio dziesięć tytułów dziennie miało formę pytań. A w pięć miesięcy później mieliśmy zajęcia w Radomiu. I niech ktoś dalej twierdzi, że prasa nie mówi prawdy. Mówi, a nawet ją przewiduje, tyle tylko, że wypowiada ją w sposób zrozumiały jedynie dla abiturientów kursów szyfrankich.

Znalazłem się w sytuacji astronoma, który musi czekać, nie wiadomo ile lat, na powrót badanej przez siebie komety. Dałem sobie słowo, że przy następnym kryzysie zacznę liczyć codaleje. Wyrzkowe badania prowadzone od listopada do końca maja potwierdziły moją hipotezę. W gazetach warszawskich, lubelskich oraz poczytnych tygodnikach znalazłem 67 codalejów (37 zadnie i 30 przednie). Niestety z tego aż 18 w maju.

Nie chciałbym nużyć całą listą codalejów, dlatego przytoczam tylko najciekawsze informacje. Najczę-

Hej! Już wlażtem!
Co dalej?



RYS. A. KRAUPE

40-lecie napaści hitlerowców na ZSRR TWIERDZA - BOHATER

PAMIĘTAM ten ranek 22 czerwca 1941 roku. Obudził mnie warkot samolotów, które przewały się przez Chełm. Gdzieś, z oddali, dochodził huk wystrzałów: wojna weszła w kolejną fazę — hitlerowcy napadli na Związek Radziecki.

Ta agresja zakończyła się totalną klęską napastników. Marszałek Giergij Żukow przypomniał 1 maja 1970 roku na łamach „Trybuny Ludu”: „Z 13 600 tysięcy ludzi, których straciły łącznie w drugiej wojnie światowej Niemcy hitlerowskie, 10 milionów zginęło, zostało rannych lub wziętych do niewoli na froncie radziecko - niemieckim. W ciągu czterech lat walki nieprzyjaciel zawsze utrzymywał przeciwko wojskom radzieckim od 56 do 77 procent swoich dywizji. Przez trzy lata na innych frontach mógł poprzestać na 20 dywizjach, co stanowiło od 0,9 do 6 proc. całości jego sił. Nawet w roku 1945 wystawił przeciwko naszym zachodnim sprzymierzeńcom koalicji antyhitlerowskiej tylko 38 swych dywizji...”

Jest rok 1981. 11 czerwca. Dzięki zaproszeniu redakcji „Zari” znów, po kilku latach, jestem — już po raz trzeci — na terenie Twierdzy Brzeskiej — wielkiego zespołu muzealnego, odwiedzanego rocznie przez 700-800 tysięcy ludzi! Dziś, jak codzień, tłumy gromadzą się przy wyszczerbionej pociskami Bramie Chełmskiej, przy głównym pomniku, przy monumentalnej rzeźbie „Pragnienie”, przy czarnych płytach, na których wryto nazwiska bohaterów. Utrwalony na taśmie magnetofonowej przejmujący głos spikera radiowego, Lewitana, przypomina ten tragiczny dzień 22 czerwca 1941 roku...

Jeszcze o północy z 21 na 22 czerwca ekspres Berlin - Moskwa, jak zwykle, przejechał przez

Brześć, ale już o trzeciej w nocy komendanci poszczególnych odcinków zawiadomili telefonicznie naczelnika oddziału straży granicznej we Włodzimierzu Wołyńskim, że wzdłuż całego przeciwległego brzegu Bugu słychać szum motorów. Jednocześnie nadeszła z Moskwy dyrektywa rządowa, stawiająca siły zbrojne w stan gotowości bojowej.

Zgrupowanie wojsk hitlerowskich, przeznaczonych do napaści na ZSRR, liczyło — bez wojsk sojuszników — 153 dywizje. Wraz z oddziałami wsparcia, kwatermistrzostwa, siłami morskimi i powietrznymi niemal pięć milionów ludzi przygotowywało się — w tej pierwszej fazie wojny — do podboju Kraju Rad. Wśród nich była również liczna grupa tzw. służby bezpieczeństwa, której zadaniem miała być likwidacja komunistów i pracowników politycznych Armii Radzieckiej.

Brześć atakowała 45 dywizja piechoty. Pastor tej dywizji wspominał: „Dokładnie o 3.45 rozpoczął się huragan i przemił się nad naszymi głowami z taką siłą, jakiej nie przeżywałem dotychczas ani w późniejszym okresie wojny. Ta gigantycznie skoncentrowana zapora ogniowa spowodowała drganie ziemi...”

Już rano, pierwszego dnia wojny, korzystając z zaskoczenia, Niemcy wdzierają się na teren twierdzy. Udaje im się zająć budynek byłej cerkwi. Kontratak 84 pułku strzeleckiego zmusza hitlerowców do odwrotu.

Następnego dnia walki toczą się z nową siłą, ale wszelkie ataki hitlerowskie nadal się zalamują. 24 czerwca powstaje sztab obrony twierdzy i wspólne dowództwo. Zastępcą do spraw politycznych jest komisarz Fomin. Później wpadnie on w ręce oprawców, którzy rozstrzelają go w pobliżu Bramy Chełmskiej.

Na razie jednak trwają burzliwe ataki najeźdźców. Lotnictwo

bombarduje twierdzę nieustannie. Bomby 500-kilowe. Bomby 1800-kilogramowe. Bój trwa o każdy metr ziemi, o każdą izbę, o każdą piwnicę. Miotacze ognia. Bomby z gazem łzawiącym. Ale niejednokrotnie i walka na bagnety.

Tymczasem zaczyna się już bitwa smoleńska, zaczyna się obrona Kijowa, a Twierdza Brzeska ciągle broni się zjadale. Dowódca 44 pułku piechoty, P. Gawrilow, wycieńczony walką, głodem i pragnieniem dopiero w trzydziątym drugim dniu (!) wojny, prawie nieprzytomny, dostaje się do niewoli. Uda mu się przeżyć wojnę, a przed śmiercią zażyczy sobie, by pochowano go na terenie twierdzy, wśród kolegów...

Anonimowy żołnierz wrył na jednym z murów koszar zachodnich słowa: „Umieram, ale nie poddaję się. Zegnaj Ojczyzno! 20 VII 41 r.”. Nie miał już zapewne siły, by podpisać się pod tymi słowami. Podobnej treści napis („Umrzemy, ale nie poddamy się”) z fragmentem muru znajduje się dziś w muzeum twierdzy. Można go też oglądać na jednej ze stron pamiątkowego medalu, wybitego przed dziesięcioma laty.

Twierdza Brzeska nigdy nie skapitulowała. Część obrońców przedarła się do swoich, brała później udział w walkach partyzanckich, część dostała się w ręce wroga, wielu żołnierzy poległo. Miesiące trwała ta nierówna walka, o której Leonid Breżniew napisał później w książce pamiątkowej Muzeum: „Przez wieki będzie żyć w pamięci narodów bohaterów czyn obrońców Twierdzy Brzeskiej, będzie żyć i nawoływać ludzi do bezgranicznego oddania Radzieckiej Ojczyźnie. Majestatyczny zespół muzealny, zbudowany w 1971 roku, uznać trzeba jako hołd, złożony odwadze bohaterów. Podziękowanie tym, którzy go stworzyli. Narody Ziemi, walczcie o pokój!”

Wajda niepokorny

Rozmowa z prof. Aleksandrem Jackiewiczem

M. D. — Polskie kino odniosło na tegorocznym Międzynarodowym Festiwalu Filmowym w Cannes ogromny sukces: najnowszy film Andrzeja Wajdy, „Człowiek z żelaza”, otrzymał najwyższe wyróżnienie — „Złotą Palmę”. Jest to najbardziej licząca się nagroda festiwalowa na świecie i jest to pierwszy polski film, który ją otrzymał. Tym bardziej chyba należy się cieszyć z cennego sukcesu, że „Człowiek z żelaza” roził się w bólach, w walce, że prawie do ostatniej chwili walczył się w kraju jego ojczyzny — sprawa wystawienia tego filmu na festiwal. Jak pan profesor, znawca oraz zdecydowany zwolennik twórczości Andrzeja Wajdy, rzecznik i teoretyk filmowej „szkoły polskiej”, której Wajda był jednym z głównych przedstawicieli, jak pan przyjął wiadomość o „Złotej Palmie” dla „Człowieka z żelaza”?

A. J. — Zaczniemy od tego, że odczuwam ogromną satysfakcję — jako krytyk, który od lat stawia na Wajdę (przy całym splątaniem moim stosunku do jego dzieł). Ze to jakiś i trochę mój sukces jako krytyka. Ale satysfakcja moja wynika przede wszystkim z faktu, że Wajda — to my, nasza świadomość, nasza tradycja, że „Człowiek z żelaza” to my sami z naszymi cechami najlepszymi i także nienajlepszymi. Więc cieszę się że zwyciężył Wajda, nie i jakaś bardzo ważna sprawa. Sprawa nas, Polaków, sprawa uświadomienia sobie w trzydziści siedem lat po wojnie, kim jesteśmy naprawdę, kim chcielibyśmy być, i to niezależnie od tego, czy to się komu podoba, czy nie. „Człowiek z żelaza” jest dla mnie wielkim aktem godności narodowej. Tę godność rozumiem jako godność socjalistycznego narodu który sam sobie ów socjalizm wybrał, a nie został mu on przez nikogo narzucony. W 1980 i 1981 roku my pierwszy raz, z własnej woli, jako całe społeczeństwo wybraliśmy sobie socjalizm i przystępujemy do budowy naszego własnego kształtu socjalizmu. On się w tej chwili tworzy; i to między innymi pokazuje Wajda w „Człowieku z żelaza”.

M. D. — Siegnąc do tak niedawnej przeszłości, do sierpnia 1980 roku, do gdańskiego Sierpnia, byłby jednak „Człowiek z żelaza”, już teraz, swego rodzaju filmem „historycznym”?

A. J. — „Człowiek z żelaza” jest dziełem historycznym, które z całym uczuciem, z solidaryzowaniem się z tematem, stara się przecież pokazać w sposób obiektywny przełom pewnej epoki w życiu naszego narodu.

M. D. — A w jakiej mierze jest film Andrzeja Wajdy dziełem artystycznym?

A. J. — Proszę pana, nie przypadkiem zagraniczni krytycy napisali w swych recenzjach, zaraz po pokazie w Cannes, że po raz pierwszy Wajda zrezygnował z własnych ambicji artystycznych... Należy to rozumieć jednak w ten sposób, że w swym dziele Wajda myślał przede wszystkim o powiedzeniu, a nie jak powiedzieć. Jest więc — oczywiście — „Człowiek z żelaza” filmem wysoce artystycznym, lecz trzeba pamiętać, że liczy się tutaj najpierw „co”, a nie „jak”. Bo są przecież filmy Wajdy takie jak na przykład „Panny z Wilka” czy „Brzezina”, gdzie chodzi o kontemplację formy... A tutaj, w „Człowieku z żelaza”, Wajda chce uchwycić świat. Nie: s m a k o w a ć. „Mów do mnie — Stocznia, mówcie do mnie — ludzie; ja słucham”... Taka jest postawa Wajdy.

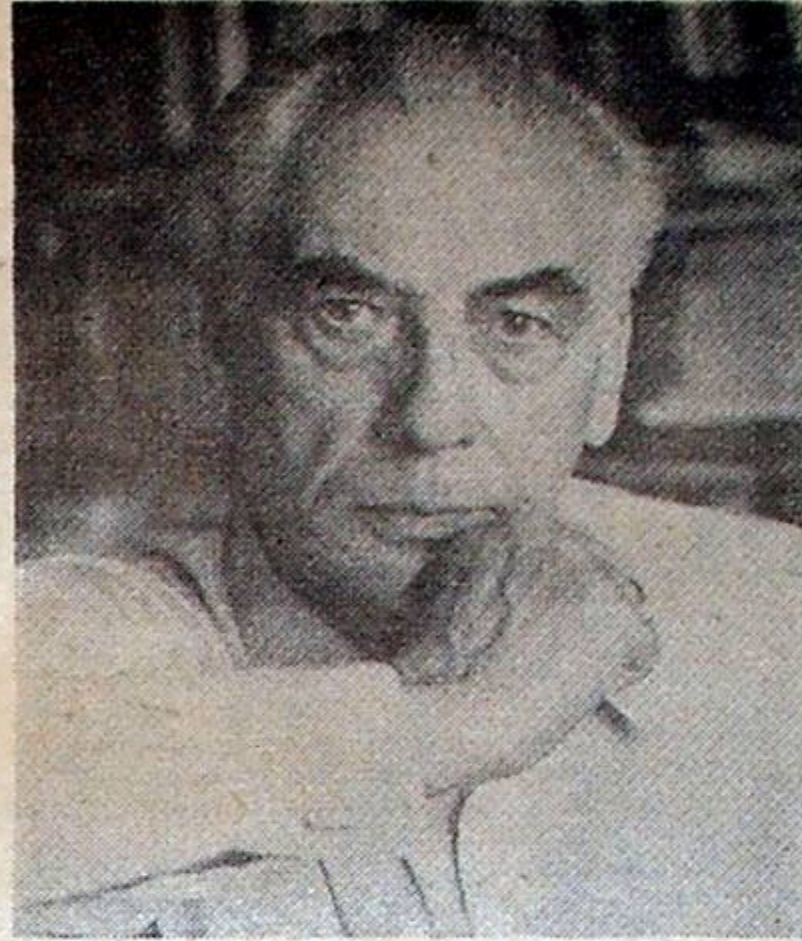
M. D. — „Człowiek z żelaza” miał być w założeniach drugą częścią dyptyku, po „Człowieku z marmuru”, konsekwencją i wynikiem z życia, z wydarzeń historycznych „dalejszym ciągnięciem” tamtego filmu.

A. J. — „Człowiek z żelaza” jest filmem bardziej „zdyszonym” niż „Człowiek z marmuru”. Tamten nazwałbym esejem o rzeczach, które się już stały. W „Człowieku z marmuru” Wajda ma czas na modelowanie, na przykład — sprawy Birkuta. W tamtym filmie jest postać. A tutaj postacie pełnią rolę służebną, reżyser zrobił film o ludziach z żelaza, o epoce z żelaza. O ile „Człowiek z marmuru” jest dramatem, to następny film Andrzeja Wajdy określiłbym mianem „eposu”. W tak rozumianym dziele oczywiście jest sprawa jakiegoś nawet niedopracowania pewnych wątków — do czego się zresztą Wajda przyznaje. Ale właśnie tak jest dobrze, zbytnie celowanie mogłoby przysłuszyć rzecz niezwykle istotną w tym filmie: jego niepowtarzalną aurę. Właściwie w „Człowieku z żelaza” jedyną „postacią” jest dziennikarz (gra go M. r a n Opania), który na polecenie prezesa Radiokomitetu ma robić reportaż o strajkujących w Gdańsku robotnikach. Reportaż szkalujący jednego z przywódców strajku, Maćka Tomczyka, syna „człowieka z marmuru” — Birkuta. Dziennikarz — konformista, który w końcu gotów jest przecież przejść na stronę strajkujących... Pracując nad „Człowiekiem z marmuru”, Wajda tworzył film; teraz o tworzył się na epokę, nie rezygnując z ambicji artystycznych.

M. D. — Jeden z ostatnich swoich artykułów na temat twórcy „Człowieka z marmuru”, zamieszczony w 12 numerze miesięcznika „Kino” z 1980 r., zatytułował pan: „Nowy Wajda”. To znaczy — Wajda na kolejnym etapie swojej twórczości?

A. J. — Ja także używam określenia: „Trzeci Wajda”; i po raz trzeci — niepokorny. Przy czym trzeba od razu zaznaczyć, że „drugi Wajda”, ten sprzed kilku lat, sprzed „Człowieka z marmuru”, jest stosunkowo najspokojniejszy, ewoluujący, nabierający rozpędu do przetworzenia się w „nowego”, po raz trzeci „niepokornego” Wajdę. To przetwarzanie się Wajdy jest niezwykle konsekwentne. Owe otwieranie się na rzeczywistość. Fakt stawiania się sejsmografem pewnego czasu, pewnej epoki. Ale — nigdy biernym sejsmografem! W Wajdzie czas się przegląda, ale dopiero on sam, w swoich dziełach daje kształt temu czasowi. Powiem więcej: w nim się przegląda nasza polskość w swoim czasie, polskość często obolała, ironiczna, niepoważna, ta co to: „pawłem narodów byłas i papuga”... I także ta polskość wielka, wspaniała! To wszystko się właśnie w Wajdzie przegląda i on temu nadaje kształt, często bezwiednie.

Wajda jest „na ty” z polskością. Jest z nią spoufalaony. I dlatego ludzie, którzy tego nie czują, nie rozumieją, mają mu ciągle coś „za złe”. Powiem dalej: taka polskość, jaką reprezentuje poprzez swoją twórczość Wajda, jest dla mnie najbardziej postępową, rewolucyjną; taki właśnie jej model ukształtował się w dobie porzoborowej. My, w naszej sytuacji historycznej, do dziś dnia nie mamy innego wyjścia jak walczyć przeciwko wszelkiemu uciskowi, absołutyzmowi, jak być za demokracją. My musimy dziś jako państwo niezbyt silne tym bardziej walczyć przeciwko tym wszystkim niebezpieczeństwom, jakie mogą zagrażać wszystkim małym narodom. Jeżeli w ten m. in. sposób należy rozumieć socjalizm, to my się już za nim opowiedzieliśmy sto pięćdziesiąt lat temu.



Fot. W. Słepień

M. D. — Wajda „niepokorny”, ale przecież na każdym swoim etapie niepokorny w innym rozumieniu tego słowa i w innym aspekcie?

A. J. — Niepokorny, a więc i stale atakowany. Kolejno, przez różnych ludzi i w kolejnych, różnych aspektach. I także: w bardzo różny sposób. Po swych pierwszych filmach, w okresie jeszcze „szkoły polskiej”, Wajda zaczął być atakowany pod kątem „ambicji narodowych”, za „zbytnią” postępowość. Przecież nie kto inny jak Aleksander Ford, który był z początku tak wielkim entuzjastą talentu Wajdy, który tak go popierał jako młodego, doskonale zapowiadającego się reżysera, w kilka lat później oświadczył mi osobiście, że to, co robi Wajda, to twórczość kontrrewolucyjna! A jako ówczesnemu stałemu krytykowi filmowemu „Trybunu Ludu” i redaktorowi naczelnemu tygodnika „Film” proponował mi, sojusznik (!) w zwalczaniu „szkoły polskiej”. Robił to z pożytkiem jeszcze stalinowskiem; w dużej mierze chodziło o „Popiół i diament” — że zbyt „narodowy”, zbyt „patriotyczny”. Siły w kręgu partii z którymi się identyfikował Ford, były wówczas jeszcze tak wpływowe, że „Popiół i diamentu” nigdy nie wystawiono na żadnym festiwalu filmowym do konkursu. Więcej: ówczesny dyrektor Naczelny Zarządu Kinematografii, Jerzy Lewiński, który dopuścił, żeby „Popiół i diament” został pokazany, poza konkursem, na festiwalu w Wenecji, podobno przypłacił tę decyzję utratą stanowiska. Ja zaś, po napisaniu entuzjastycznej recenzji o „Popiole i diamencie” w „Trybunie Ludu”, dowiedziałem się, że została ona natychmiast ostro napiętnowana w KC przez czynniki zachowawcze. I podobno, gdyby nie zdecydowana postawa Leona Kruczkowskiego (mówię o tym dzisiaj po raz pierwszy), byłbym usunięty jako recenzent filmowy z „Trybunu”. Ten pierwszy okres twórczości Wajdy — „Pokolenie”, „Kanał”, „Popiół i diament”, „Lotna” — określam jako „romantyczny”. Bo choć nie ma w nim Kordianów, to przecież w wajdowskim „Pokoleniu” — inaczej niż w powieści Czeskiej — na przykład Jaś Krone jest takim jakby trochę „Anhellim” i przesłania racjonalistycznego Stacha, „Kanał” — to dla mnie analogie z „Anhellim”, z „Piekłem” Dantego. „Popiół i diament” to znowu jakby „Kordian”. Szczuka jako jedyne wyjście dla narodu uznaje postawę racjonalistyczną; tragedia Maćka Chelmickiego w tym że on z kolei widzi wyjście romantyczne. Romantyzm Wajdy jest niepełny, bo jest on jakby przepuszczony przez filtr już socjalistycznego, racjonalistycznego widzenia.

M. D. — Wiek kto tutaj ma rację: Szczuka, Maćka Chelmicki czy Andrzej Wajda?

A. J. — Oczywiście, rację romantyczną, związaną z naszą tradycją wiecznej walki o tożsamość narodu, ma Maćka; pełna wolność, niepodległość, niezależność. Ale znowu Szczuka reprezentuje myślenie racjonalistyczne, geopolityczne. Szczuka jest rzeczniczką naszych obecnych lat. Na tym polega właśnie niepokorność Wajdy: on pokazuje dwie postawy; przy czym my jesteśmy sercem z Maćkiem, ale rozumowo jesteśmy po stronie Szczuki.

M. D. — I na tym polega z kolei racja artystyczna Wajdy.

A. J. — Od „Popiołów” zaczyna się „drugi” Wajda, a raczej jest to okres przejściowy; zaczyna się okres „neoromantyczny”. W „Popiołach” Wajda bardzo silnie opowiada się za polskim romantyzmem postępowym.

M. D. — „Popioły” wywołały burzę protestów i zarzuty: zarówno wobec wierności powieści Żeromskiego jak również interpretacji naszej historii...

A. J. — Wajda kolejny raz okazał się niepokorny. M. in. Zbigniew Żaluskim zarzucił mu, że pokazuje Polaków przegranych, że: „bohaterstwo”, że: wajdowska Samosierra to jatki, a nie: zwykła szarża. Ze: „Lotna”, a w niej nie mająca historycznego potwierdzenia szarża z szablami na czołgi. Ale tutaj właśnie jawi się owa druga strona Wajdy, ta konieczność wykrzyknięcia, że Polska nie jest „kolejną”, „świętą”, że nie: „Chrystus narodów”... Wajda ma tę odwagę i tę — powtarzam raz jeszcze — poufalość z historią, że on widzi niezwykle wyraźnie nasze wady narodowe i musi o nich mówić. Swatosław Jurieniew, radziecki krytyk, wcale nie zwolennik „szkoły polskiej” i samego Wajdy, powiedział mi kiedyś rzecz bardzo interesującą: że Wajda w „Lotnej” zarówno kocha, jak i nienawidzi tych ułanów, którzy poszli na czołgi z szablami. On w tych ułanach kocha i nienawidzi... siebie samego.

M. D. — No tak, ale w określonej sytuacji czasowej i politycznej twórca „Popiołów” stawiał jakby w poprzek patriotycznym zapotrzebowaniem społeczeństwa. Jakby opowiadał się po stronie „czynników oficjalnych”; mógł się wydawać, że z jakichś szczególnych przyczyn krytykuje naszą historię i nasze uczucia narodowe.

A. J. — Na tym właśnie polegał cały dramatyzm sytuacji. I dlatego w moim piśmie o Wajdzie tak często przewija się ów problem, sprawa owej ówczesnej „niechęci” wobec Wajdy. Tak, naród był zmęczony przemilczaniem lub wypaczeniem naszej historii i gdy tylko Wajda występował z krytyką naszych cech narodowych, naszych przywar, wzbierała fala protestu. Ale przecież artysta przechodził w owym czasie jakby ponad tym, co się działo wokół.

M. D. — Nad ówczesnym, swego rodzaju „utylitaryzmem” patriotycznym, który akurat zdurzył się z pewnym etapem jego drogi twórczej?

A. J. — Proszę pana, trzeba pamiętać, że w całej polemice Wajdy z Żaluskim, czy też w tym, co ja pisałem i co głosił Żaluskim, była bardzo wyraźna sprawa — Żaluskim bronił trójcy: nawet Samosierra słuszną, nawet pójście z kosami na armaty słuszną... I pośrednio on miał rację: tam, gdzie trzeba było istotnie nawoływać do nieszarpania świętości. Ale ta postawa ugodowo-narodowa: „nie szarpmy świętości”, jest także... naszą postawą lat siedemdziesiątych! „Nie szarpmy się, budujmy się” itp.! O tym trzeba pamiętać. Ale idmy dalej: gdyby Wajda nie doszedł do swojego „trzeciego” okresu, gdyby nie stał się niepokorny, po raz trzeci, to by trzeba było przyznać Żaluskim rację. Tylko że pasja moralna Wajdy — już na długo przed Sierpnem — zwyciężyła. Objawił się kolejny Wajda, który „szarpie narodem”. Powstał „Człowiek z marmuru” — musiało narodzić się „kino moralnego niepokoju”. Powstał bardzo ważny film — „Bez znieczulenia”. Proszę wziąć pod uwagę, że Wajda w swym trzecim okresie przechodzi zdecydowanie do epoki współczesnej. Wczesną zapowiedzią owego przejścia było „Wszystko na sprzedaż”; nie tylko zmienił tam technikę filmowania, ale w inny sposób pokazywał rzeczywistość. To szukanie, jakby dziennikarskie, co się stało z Aktorem — Cybulskim, i kim on właściwie był, zarazem szukanie: kim my jesteśmy, skąd się bierzemy? „Trzeci” okres Wajdy to jakby ciągle „śledztwo”, jakby pisany kamerą „reportaż”, który, ukazując dzielącą się wokół rzeczywistość, ma zarazem dotrzeć aż do samych korzeni, aby ukazać sedno sprawy: „Człowiek z marmuru”, „Bez znieczulenia”, „Człowiek z żelaza”... I jeszcze jedno: mam nieodparte wrażenie, że wszyscy bohaterowie Andrzeja Wajdy, od Jasia Krone z „Pokolenia” począwszy, ozywają się teraz w „Człowieku z żelaza”.

M. D. — Za co pan właściwie najbardziej ceni Wajdę? Za jego odwagę, siłę moralną, postawę artystyczną, bezkompromisowość?

A. J. — Za co cenię Wajdę?... całą naszą tradycję narodową! Za nas samych, za nasz romantyzm autoironiczny. Niektórzy mają nam za złe, że my wciąż krytykujemy siebie. Otóż ja uważam, że zginie naród, który siebie nie krytykuje! Bo naród jest tak długo młody, żywy, jak długo potrafi zachować wobec siebie myślenie samokrytyczne. Nie: tendencję do samoopływiania się, ale samokrytyczne myślenie!

M. D. — W ostatnim okresie nasiliła się fala ataków wobec tego, co robi Wajda. Mam tu na myśli niektóre ugrupowania czy też poszczególne osoby, choć przyznam, że bardziej to wszystko traci zwykłym opiewaniem, niż by się sprawdzało w konkretnej krytyce. Skąd te nie przebiegające w środkach ataki?

A. J. — To są ataki ludzi, których ja określam mianem „ciot polskości”. Rozpatrzmy to na przykładzie „Człowieka z żelaza”. Samokrytycyzm wajdowski objawia się tam choćby w tych scenach, w których — w ujęciu retrospektywnym — Birkut dopiero własną śmiercią w 1970 r. na gdańskiej ulicy okupuje to, że w 1968 r. występował przeciwko swemu synowi-studentowi oraz jego kolegom. I Wajda, i Seibor-Rylski, scenarzysta „Człowieka z żelaza”, u siebie nadać swej „pozytywnej” historii wyraz i sens niekłamany tragiczny. Myślenie Wajdy jest myśleniem dramatycznym. A dramat polega na konflikcie. A konflikt — to jest triada heglowska. A triada heglowska to przecież jest dialektyka marksistowska: teza, antyteza i synteza. A wie pan, jak by to wszystko wyglądało w ujęciu któregoś z „ciot polskości”? Oto — po prostu — Birkut przekazałby „pułczkę walki o słuszną sprawę” swojemu synowi. Niezycie uczucia nie zostałyby „wystawione na szwank”, nie ucelowałyby „sprawa narodowa”. Ale jeśli naród traktuje się tylko na zasadzie: „nie szargać świętości”, jeżeli wszystko, co krytykuje zło w narodzie, traktuje się zaraz jako „zdradę sprawy narodowej” — to... to zaczyna się... „modlitwa dziewicy”. To zaczyna się wąskie myślenie nacjonalistyczne. Gdzie nie ma miejsca na żaden dystans w stosunku do narodu. I krytykowanie Wajdy wynika — moim zdaniem — przede wszystkim właśnie z tego, że Wajda widzi naród jako zjawisko żywe. Podczas gdy nacjonalisci z aważę traktują naród jako rzecz niezmienną, „świętą”. Jako rzecz niezmienną, gdyż próba wszelkiej zmiany jest, ich zdaniem, właśnie zdrada „świętej” wizji narodu.

Pożegnanie

Czingiz Ajmatow

Z Kasymem żegnali się wszyscy, którzy pracowali przy żniwach. Przybiegli żęńcy, woźnicy, młocarze, a i kombajn znalazł się w pobliżu. — Pomocnicy Kasyma przerwali pracę, chcąc także się pożegnać.

Mówią, że kowal, idąc na wojnę, żegna się z kowadłem i młotem. A mój Kasym też był nie lada mistrzem w swym zawodzie. Kiedy kombajn zatrzymał się, Kasym rozmawiając z ludźmi z naszej wsi spojrział na drogę. W tej chwili właśnie ukazała się na zakręcie kolumna poborowych z taborem, koniami i czerwoną chorągwią na czele.

— Tato, potrzymaj — Kasym oddał ojcu uźdęgniadego, a sam zbliżył się do kombajnu. Obszedł go dokoła, obejrzał ze wszystkich stron i... wskoczył na stopień.

— Ruszaj, Eszenkuł, gazu! Gazu, jak wtedy! — zawołał do traktorzysty.

Silniki, które pracowały na półobrotach, zaterkotały teraz, zawyły, kombajn z rumorem i szcękaniem łańcuchów zaczął trzepać pszenicę, wyrzucając z młocarki strumienie słomy. A Kasym podstawił twarz pod gorący wiatr i śmiejąc się rozprostowywał ramiona, jak gdyby o wszystkim zapomniał. On i motorzysta krzyknęli do siebie, kiwali głowami, zawrócili na końcu pola i znów ruszyli naprzód. Kombajn fruwał po polu jak ptak stepowy. I wszyscyśmy na chwilę zapomnieli o wojnie. Ludzie mieli w oczach wyraz szczęścia, a najbardziej dumna była Aliman. Powoli szła naprzeciw maszynie i z lekka się uśmiechała. Kombajn stanął. I od razu ludzie spochmurnieli. A Bektasz, synek naszej sąsiadki — miał wtedy trzynaście lat i tego lata już odbierał słomę z kombajnu — rzucił się na szyję Kasymowi, całował go i płakał. Zagryzł wargi, żeby nie krzyknąć, przypominając sobie nakaz Suwankuła. Kasym podniósł Bektasza, pocałował go, postawił przy sterze i powoli zeszedł po drabinie. Otoczyliśmy go kołem. Pożegnał się z traktorzystą i pomocnikiem. Trzeba było się spieszyć — kolumna na tracie już się do nas zbliżała.

W ten sposób odprowadziliśmy Kasyma. A kiedy miał już dosiąść konia, biedna Aliman, nie bacząc na starszych i dzieci, krzyknęła i zawisała na ramionach męża. Oczy miała gorące, a w twarzy ani kropki krwi. Siłą musieliśmy ją oderwać. Wrywała się i znów do niego. I jak dziecko chwytala go za rękę, nie pozwalając włożyć nogi w strzemień, błagając:

— Zaczekaj! Chwileczkę! Jeszcze chwileczkę!

Kasym całował ją i uspokajał: — Nie płacz tak, Aliman! Przekonasz się, że jutro zawrócą mnie ze stacji. Wierz mi!

Suwankuł powiedział:

— Idź, Aliman, odprowadź go jeszcze do drogi. A my pożegnamy się tutaj, żeby go nie zatrzymywać. — Suwankuł wziął syna za rękę i cicho powiedział: — Spójrz mi w oczy.

Patrzyli teraz na siebie.

— Zrozumiałeś mnie? — spytał ojciec.

— Tak, ojciec, zrozumiałem — odpowiedział syn.

— Więc jedź z Bogiem! — Suwankuł dosiadł konia i nie oglądając się odjechał.

(Fragment powieści „Mieczynne pole”, Warszawa 1964; przekład: K. Latoniowa)

Współczesny białoruski pisarz, Michał Gerczyk, poprzez bezpośrednią relację głównego bohatera przenosi nas do coraz innych epizodów jego biografii. Cecha powieści jest swobodne przekraczanie granic czasu i miejsca. Kompozycja utworu opiera się bowiem nie na chronologii zdarzeń, lecz na obsesyjnym wprost odkrywaniu w ich chaosie „logiki życia”.

Było dawno po zakończeniu wojny, gdy przypadkowy wybuch miny uczynił z chłopca inwalidę. Tragiczny wypadek kształtuje całą jego egzystencję, zmienia nawet stosunek do krótkiego fragmentu poprzedzającego ten incydent przeszłości.

Sugestywne, autentyczne wyznania młodego mężczyzny — w kategoriach aktywności psychicznej i witalizmu — przeplatają się z wyznaniem kaleki pełnego kompleksów, niewiary w siebie i innych, zagubionego w świecie, gdyż zbyt wiele rzeczy widzi inaczej niż zwykli obywatele. Krócej mówiąc, stajemy się świadkami poszukiwań przez bohatera własnej drogi we współczesnej rzeczywistości — i to stanowi tkankę powieści.

Orientacyjnymi punktami są dla niego po prostu ludzie, z jakimi się styka. A przy tym dokonuje ciągłego rozrachunku z ograniczonymi w swych celach egotystami, którzy bez żadnych skrupułów potrafiliby z jego życia uczynić „Jalową pustynię”.

Jednak konflikt powieści polega nie tylko na ścieraniu się z przeciwnościami losu, rozgrywa się przede wszystkim w świadomości bohatera, bo wybuch samej miny „ugodził także i w duszę”.

Dlatego powieść jest jakas próba psychologicznego portretu pokolenia, które wprawdzie dojrzało w czasie pokoju, lecz w atmosferze stałego zagrożenia i relatywizowania się ideałów. Typowe staje się dla tego pokolenia dążenie do wartości sprawdzalnych. Bohater M. Gerczyka znajduje takie wymierne wartości, z uporem żądając „po kręgach dobroci i człowieczeństwa”.

Ta interesująca pozycja białoruskiego pisarza ukaże się w „Książce i Wiedzy”.

FURMANKI były nabite ludźmi, siedzącymi w słomie startej na sieczone, i jedni lekliwie, inni z ciekawości, rozglądali się wokół — otaczała je zwarta, milcząca ciżba, w której można było rozróżnić bosonogie i opalone baby, umorusaną dzieciarnię, starców i staruchy o zmarszczonych twarzach. Nie dostrzegało się jedynie młodych chłopów, gdyż był to koniec sierpnia 1941 roku.

— Jak ci na imię? Raja? A mnie... Oksana, a tutaj u nas nazywają mnie... Oksija. Rajeczko, nie się nie przejmuj, żywe gnaty szybko pokryje ciało. Ale co tam, chodźmy.

Właśnie na ganku ukazał się konwojent z listą, by według niej nas rozmieścić. Zobaczywszy, że uciekinierów nie ma, bo bez jego udziału, w otoczeniu mieszkańców wsi zmierzali już ku

Oddajesz na zawsze

Michał Gerczyk

Kudłaty woźnica z drewnianym kikutem zamiast nogi, mówiący ochrypłym, zanikającym chwiłami głosem, właśnie przywiózł z powiatu dwanaście ewakuowanych rodzin i pokuśtykał do zarządu kołchozu, proteżując w piachu okrągłe dziurki, a my byliśmy tak zmęczeni, tak wytrzesło nas w czasie długiej jazdy po wyboistych drogach, że nikt nie miał ochoty schodzić na ziemię.

Furmanki stały na płaskim wzgórzu, z widokiem na całą wieś, rozciągniętą wzdłuż drogi z południa na północ i pagórek dzielił ją prawie na dwie równe połowy. Wieś wydała nam się jakas dziwnie ogołocona — ani drzewka, ani krzaczka czy płotka w pobliżu porządnych chat, ze spichlerzami i szopami z nieciosanego kamienia w głębi podwórzy. A poniżej wsi, gdzie właśnie zachodziło słońce, widać się rzeczulka biała od gęsi i pełna gęgotu, zbiegały do niej ogrody w soczystej zieleni ziemniaczanych łętów, wśród nich sterczały lodygi słoneczników, a zaraz za podwórzami, po drugiej stronie drogi, zaczynał się step — i po nim jak okiem sięgnąć przelatował wiaterek, kołysząc jedwabiste fale niezwyklej trawy — ostnicy.

Siedzieliśmy więc na wozach, zachodziło słońce, konwojent wciąż nie wracał. W ciżbie zaczęły się szepty, wzdychania, niektórzy z niecierpliwością przestępowali z nogi na nogę. Wtem jakaś dziewczynka z czerwonymi kokardkami we włosach nagle głośno powiedziała:

— Mamo, pewno oni chcą jeść?

I odezwane się malej sprawiło, że po ludziach jakby przeszedł prąd elektryczny — wszyscy raptem ożyli, powstał gwar:

— To prawda, co mamy tu czekać na jakiegoś zarządcę? — krzyknęła krzepka, czarnooka niewiasta w letniej sukience w barwne kwiaty. — Ludziska, zabierzcie ich sami do domów, biedacy, strasznie są zmordowani...

Chwyciła mnie pod pachy, głową skinęła na matkę:

— Jednego masz tylko, czy więcej?

— Jednego... jednego — szybko odparła mama, zeskakując z wozu.

— Zamieszkać u mnie. Stąd widać mój dom, naprzeciwko żurawia.

— Dziękuję ci, sestro — szepnęła mama i rozplakała się.

Tymczasem kobieta już postawiła mnie na ziemi, wzięła z rąk mamy małeńki tobolek i tylko westchnęła:

domom, podrapał się po karku, wsunął listę do kieszeni i pokuśtykał do wozów.

Mniej więcej po dwóch godzinach zażywałem kąpiel w porządnie ogrzanej i zadymionej łaźni, z wąskim okienkiem niby otwór strzelniczy; ciocia Oksija w długiej koszuli z lnianego płótna, przylepionej do ciała, szorstką myjką zdzierła ze mnie niemal dwumiesięczny brud, narosły w czasie tułaczki. Wrzeszczałem w niebłogosły od laskotek i wstydu; miałem prawie osiem lat, byłem już spory, lecz ciocia Oksija, wcale nie zważając na piski, mocno tarła mnie myjką, aż stałem się czerwony jak ugotowany rak. Wtedy chlusiła na mnie ciepłą wodą, wypchnęła mnie do przedsiionka łaźni: tutaj na ławce, przykrytej długim ręcznikiem, leżały spodnie i koszula jej syna, Jegorki — nasze lachy zostały spalone, bo tak je wszy obsiadły, że nie nie pomogła dezynfekcja na punkcie sanitarnym w Orenburgu; a ciocia Oksija już szorowała mamę. Była jak naciągawszy ubranie na wilgotne ciało, rozłożyłem się na ławie i słuchałem jak syczy woda na rozgrzanych do czerwoności kamieniach, jak mama opowiada ciocie Oksiji o bombowcach i nalotach, o tym, że nasz pociąg ewakuacyjny niemilosierdzie włóki się prawie przez cały kraj, dając ciągle pierwszeństwo pociągowi śpieszącym na front — i było mi tak niewystłownie dobrze, że wojna wydała mi się jakimś koszmarnym snem, który wreszcie przestał mnie dręczyć... i nawet nie spostrzegłem, kiedy zasnąłem.

...Zaraz w pierwszą niedzielę po przyjeździe ciocia Oksija uczyła mamę, jak się piecze chleb.

Nie wiem, jak jest teraz w Orenburskim Okręgu, lecz wówczas nie uprawiano tam żyta, siano tylko kubańską odmianę pszenicy, o kłosach ciężkich, jakby z litego złota, mąka z niej była biała niczym śnieg. I ciocia Oksija piekla wysokie i pulchne bochenki, żółtawe, okrągłe stońca, z maleńkimi dołeczkami i wypukłościami na skórce. Daje się taki chleb splaszczyć niby pączek, a po cofnięciu dłoni znów rośnie i rośnie... To ci dopiero chleb...

Z samego wieczora ciocia Oksija robiła rozczyzn w dużej glinianej dzieży, którą na noc stawiała blisko pieca, żeby ciasto w cieple dobrze się wyruszało. A rano obie z mamą zawiązywały na głowie chustki-rogowki, wykladały ciasto na stół, posypany mąką, i miesiły, mąka zaraz osiadała na ich nosach i rękach, w piecu już buszo-

waly kostki wysuszonego nawozu zmieszane z sieczone, czyli kiziatu, podobnego do torfu — odblaski ognia padały na ich ożywione i radosne twarze, jakby obie nie miesiły chleba, lecz dopełniały tajemniczego obrzędu. Wreszcie ciocia Oksija wygarniała zar i nagrany mocno trzon pieca zmiatała do czysta gęsim skrzydłem, na drewnianej łopacie kładła liście kapusty, na nich bochenki — i wsuwała je w tę gorącą. Jeden, drugi, trzeci... było ich tyle, by starczyło na cały tydzień.

Po zamknięciu drzwiczek, ciocia Oksija nigdy na darmo ich nie otwierała, nie zaglądała, co się tam dzieje, ale jakby siódmym zmysłem wyczuwała, kiedy pora wyjąć chleb. Wtedy ostrożnie bochenki podważała łopatą i jeden po drugim kładła na stole, przypieczoną ich skórę smarowała topionym masłem, przykrywała je białą ściereczką — i chleb powoli stygł, a po całym domu rozchodził się taki zapach, że mnie i bliźniakom cioci Oksany, Jegorce i Łońce, aż ślinka ciekła, kręciliśmy się bez przerwy, by skubnąć gorącego chleba, lecz odpędzała nas od niego.

Pewnego razu narządnie dokuczali...

my ciocie Oksanie i, na odczepnego, ukroila nam po pajdzie chleba ze starego wypieku: zostało z pół bochenka w drewnianym, rzeźbionym talerzu — był to wcale nie czerstwy, a dobry, pszenny chleb.

— Też mi coś! burknąłem, cisnąwszy swój kawałek w ką. — Mam ochotę tylko na świeży...

Zwykle taka łagodna i dobra ciocia Oksija — do jedzenia sadowiła mnie razem z własnymi dziećmi, nigdy nie pominęła mnie, rozdzielając kubki mleka, pączki czy gęsie kuperki — aż tu nagle poczerwieniała na twarzy, gniewnie krzyknęła:

— Zaraz mi to podnieść!

Gdy wystraszony, całkiem zbity z tropu, za chwilę gotów już wybuchnąć płaczem, przyniosłem jej z kąta swojej pajdy — co za powód do krzyku, sknera, tyle przecież bochenków napiekła! — wzięła ją z moich rąk, zdmuchnęła z niej każdy pyłek i znów położyła ją na rzeźbionym talerzu.

— Nie wolno rzucać chlebem, Saszko... — powiedziała oschle. — Chleb jest święty, skropiony naszym potem. Żeby nam wkrótce nie zabrakło choćby i takiego kawałka.

...Wiosną w 1943, gdy lebioda i pokrzywa dopiero co wzeszły, a wylapaliśmy już prawie wszystkie suszy, wytrzebiliśmy gawrony i wróble, ciocia Oksija wybrała ze skrzyni ostatnią garść ziarna na pół z mysim pomiotem, w brzygadzie zaś norma spadła do trzystu gramów, bo oszczędzano, by w czasie siewów podtrzymać ludzi na siłach, wtedy często we śnie widywałem ów kawałek białego, pszennego chleba, z jasnobrunatną skórką i z dziurkami w niej. Różne przedwojenne ciastka nie śniły mi się ni razu, zapomniałem jak w ogóle wyglądały, tak samo i bułki — chociaż w naszym sklepie z pieczywem było ich mnóstwo: ruskie i francuskie, wyplatane, z marmoladą w środku, drożdżówki z serem... — tylko tamten kawałek chleba widywałem we śnie.

I teraz też niekiedy mi się przysni — sam nie wiem dlaczego?..

Przełożyła: Alicja Zukowska

MIASTO MALARZY

Jan Zamojski

JUŻ w końcu XVIII w. Kazimierz był odwiedzany przez malarzy i wykorzystywany przez nich w ich twórczości. Przebywali w nim kolejno: Henryk Müntz, Zygmunt Vogel, Jan Piwarski, Wojciech Gerson, Józef Brandt, Stanisław Masłowski, Elwiro Andriolli, Aleksander i Maksymilian Gierymscy, Leon Wyll, Aleksander i inni. Były to jednak odwiedziny sporadyczne. Prawdziwy najazd malarzy na to miasteczko spowodowały dopiero plenery, zainicjowane i prowadzone przez profesora Szkoły Sztuki w Warszawie, Tadeusza Pruszkowskiego, dla jego uczniów.

Pierwszy taki plener odbył się latem 1923 r. Miał on jeszcze wymiary bardzo skromne. Przybyło nas wówczas — oprócz profesora — zaledwie osiemiu: Jan Gotard, Aleksander Jędrzejewski, Edward Kokoszko, Antoni Michalak, Janusz Podowski, Mieczysław Szulc, Jan Wydra i ja. Władze miasta oddały nam do dyspozycji na czas wakacji salę szkoły powszechnej, mieszczącej się wówczas w budynku przy kościele św. Anny — dawnym przytułku dla starców.

W sali tej przyszło nam wieść żywot istic spartański: lożem była podłoga zasłana słomą bez siennek, a wodę trzeba było nosić z dalekiej studni. Nie psuło nam to jednak humorów i nie przeszkadzało zachłystywać się urokiem tej niezwykłej miejsciny, którą zostaliśmy po prostu oczarowani.

Próżno by szukać drugiej miejscowości, dostarczającej takiego mnóstwa różnorodnych wrażeń i tematów malarskich, jak usytuowany na niewielkiej przestrzeni Kazimierz. Niemal w zasięgu ręki miało się: bogato urzeźbiony teren ze wzgórzami przecieranymi głębokimi jarami; i szeroko rozlaną, szarpiącą brzegi rzekę z łachami piasku, tworzącymi wspaniałą plażę, a na swym nurcie unoszącą parowe statki i łodzie rybackie; i genialnie wkomponowaną w teren, urzekającą architekturę miasteczka z górującymi nad nim szlachetnymi sylwetkami kościołów, z unikalnymi w swej wartości plastycznej kamienicami oraz z pełnymi wdzięku drewnianymi domami; i ruiny zamku z basztą na górze, a zabytkowe śpichlerze na dole; i gęstą zielenią sadów; i samotny, wyniosły, wielowiekowy dąb ze śladami nieustającej walki z atakującymi go burzami i piorunami, który z premedytacją zniszczyć mieli dopiero hitlerowcy podczas okupacji; i barwny folklor żyjący w symbiozie dwu kultur — chrześcijańskiej i żydowskiej. A wszystko to nasycone atmosferą historycznych wspomnień i tajemniczych legend...

Noćnego oświetlenia ulic Kazimierz wówczas nie posiadał. Jedynie w plątkowe wieczory, kiedy Żydzi, stanowiący ogromną większość mieszkańców śródmieścia, po pośpiesznym zamknięciu sklepów umieszczali w oknach zapalone szabasowe świece, ulice przylegające do oświetlonych okien stały się widoczne. Płonące w oknach świece, postacie wyznawców Mojżesza w rytualnych strojach, kroczące na modlitwę do bożnicy lub odprawiające ją we wnętrzach oświetlonych i widocznych z zewnątrz mieszkań — stwarzały niezwykły, uroczysty, tętnący zamierzchnymi wiekami nastrój. W pozostałe dni tygodnia miasto tonęło w ciemnościach i drogę trzeba było sobie oświetlać samemu. Tylko pełnia księżyca, przy bezchmurnym niebie, wydobywała osiedle z mroku, wycarowując jego piękno. Kazimierz z pióropuzami dymów snujących się z kominów, oszroniony promieniami księżyca nabierał nowego, urzekającego wyrazu. W takie noce można było godzinami siedzieć na górze zamkowej i w ciszy chłonąć rozciągający się przed oczami widok.

Dodatkową atrakcją Kazimierza były cotygodniowe jarmarki, odbywające się na rynku. Charakteryzowały się niezwykłą barwnością strojów ludowych oraz bogactwem typów ludzkich; a zgłębienie, głośnie zachwalanie towarów i „dobijanie” rękami targu z żydowskimi kupcami tworzyły egzotyczny niemal nastrój. Konie, krowy, kozy, gęsi i kaczki — zgromadzone na jarmarku — stały się również elementami naszych studiów.

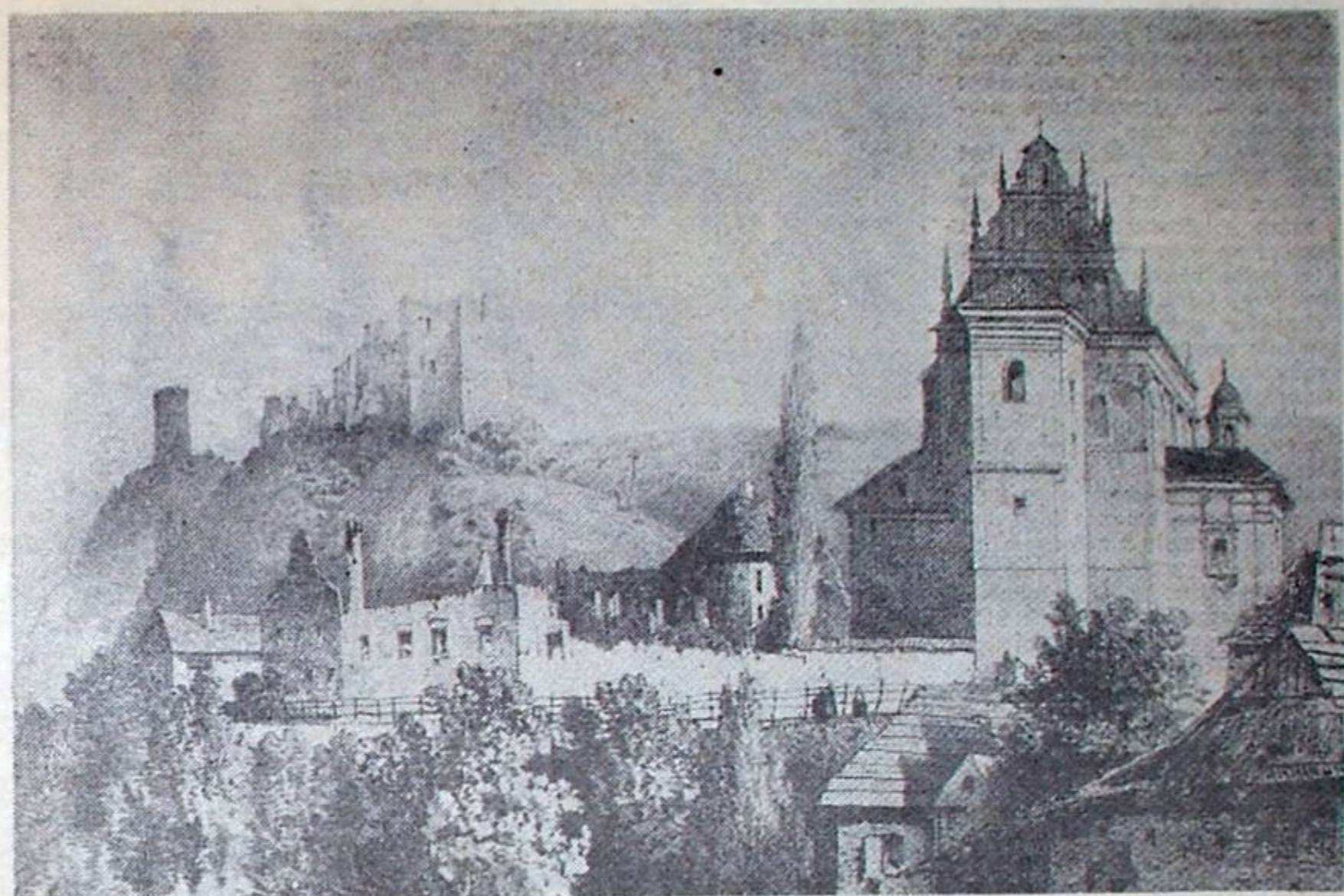
Nie więc dziwnego, że usiłowaliśmy jak najpełniej wykorzystać tę nieprzebraną skarbnicę motywów malarskich. Pracowaliśmy rzeczywiście zapamiętale, odurzani atmosferą świeżo poznanego miasteczka...

Wystawa naszych poplenerowych prac, zorganizowana w gmachu SSP w Warszawie, wzbudziła ogromne zainteresowanie. Toteż w roku następnym (1924) przybyła do Kazimierza o wiele liczniejsza grupa koleżanek i kolegów — i to nie tylko „pruszkowiaków”, choć stanowili przytłaczającą większość, ale również studentów z innych pracowni, głównie prof. Władysława Skoczylasa, z którą byliśmy najbardziej zżyli.

Od tej pory aż do wybuchu wojny 1939 r. każdego lata zjeżdżali do Kazimierza na organizowane przez Pruszkowskiego plenery coraz większe rzesze adeptów malarstwa, budząc miasteczko z zimowego letargu i wnosząc w jego życie orzeźwiający, radosny, pełny podniecającego zamętu cechy, jakie są własnością i przywilejem młodości.

Kazimierz latem stawał się miasteczkiem okupowanym przez malarzy. Wszędzie ich było pełno. Już od wczesnego rana, często dziwnie przystrójeni, zjawiali się z kasetami i sztalugami na wzgórzach i uliczkach miasteczka, prowadząc pejące studia. Towarzyszyła im zwykle chmara dzieciaków.

Nie wszyscy jednak wychodzili na studia w plenerze. Niektórzy pozostawali w swoich izbach, realizując kompozycje figuralne. Najczęściej wykorzystywanym w tym celu modelem był miejscowy żebrak Kozdroń — postać niezwykle charakterystyczna i malownicza dla Kazimierza. Niewidomy, chudy, bosy, w płóciennych zgrzebnych spodniach, w brązowej sukmanie przepasanej rzemieniem, z opadającym na plecy (bo zawieszonym na szyi) słomianym kapeluszem, którego duże rondo — niczym nimb — okalało zmierzwioną, wysoko uniesioną głowę, z wysuniętym przed siebie kijem badającym powierzchnię drogi — sprawiał Kozdroń wrażenie średniowiecznego pątnika. Prowadziła go żona, kobieta dużo starsza od niego i niewidząca na jedno oko. Wielokrotnie pozował Antoniemu Michalakowi („Ukrzyżowanie”, „Św. Franciszek”, „Bajka o szczęśliwym człowieku” i in. W moich „Pogorzalcach” był postacią centralną. Również jego żona stała się tematem mojej pracy dyplomowej pt. „Kobieta z palmą”, a oboje razem pozowali mi do obrazu „Przed kościołem”.



Litografia Adama Lerue z 1857 r.

Fot. A. Krzak

Około godz. 11, o ile świeciło słońce, następowała przerwa w studiach. Całą gromadą wybieraliśmy się na plażę. Po dwu godzinach barszkowania, pławienia się w wodzie i wygrzewania na piasku, powróć do miasta, obiad i znowu praca aż do zmierzchu.

„Prusz” — bo tak nazywaliśmy potocznie naszego profesora — w ciągu dnia obchodził „stanowiska” swoich uczniów. Nigdy nie narzucał nam własnej manery, a przeciwnie, usiłował w każdym wykryć jego indywidualne predyspozycje i te w nim rozwijać. Nigdy też nie wygłaszał krytycznych uwag w formie, która mogłaby studiującego zniechęcić. Zawsze znajdował właściwe słowo i sposób, aby potykającym się na trudnościach dopomóc w ich przebrnięciu, wąpiącego podnieść na duchu, we wszystkich zaś rozpałki entuzjazm do pracy.

Po spożyciu wieczornego posiłku każdy spędzał czas według własnej woli. Były i wzajemne odwiedziny, i w zwartych grupach wspinaczki na górę zamkową, i potańcówki w pensjonatach, i wymykanie się na randki ze świeżo poznanymi letniczkami... Ale najczystszy terenem, na którym spotykała się brać malarska, był „Biały Domek” „Prusza” przy ul. Nadrzecznej, gdzie na ogół królował beztrudny humor, ale często również trwały zajadłe dyskusje na tematy nam najbliższe, dotyczące sztuki i jej miejsca w życiu.

Dużą atrakcją w życiu Kazimierza okazały się zabawy, jakie urządzaliśmy na ruinach zamku w latach 1924 i 1925. Celem ich było zasilenie kasy studenckiej „Bratniej Pomocy”, aby umożliwić przebywanie na plenerze tym, którzy nie posiadali na to odpowiednich środków. Zabawy te głęboko wryły się w pamięć kazimierzan i do dziś są wspomniane z rozrzewnieniem przez tych, którzy w nich uczestniczyli, a jeszcze żyją.

Rozchodzące się wieści o „mieście okupowanym przez malarzy” ścigały również tłumy letników. Powstała konieczność wprowadzenia w 1925 roku komunikacji autobusowej, jakiej do tej pory Kazimierz nie posiadał. Od tego czasu wszystkie pensjonaty (a było ich kilka) pęczniały od nadmiaru gości; w domach prywatnych gospodarze często gnieździłi się w jednym pokoju, wynajmując resztę przyjeźdnym, nawet strychy i komórki zamieniano na mieszkania dla letników. Obwatele miasta podreperowywali swoje budżety i chętnie godzili się na innowacje. W 1925 roku na rynku po-

stawili nawet latarnię karbidową. Okazało się, że malarze — mimo woli — przyczyniają się nie tylko do ekonomicznego rozwoju miasta, ale do stopniowego jego unowocześnienia.

Z Kazimierzem łączą się również dwa zdarzenia, które odegrały w życiu artystycznym Polski znaczącą rolę: powstanie „Bractwa św. Łukasza” i wykonanie przez jego członków siedmiu obrazów historycznych.

Pewnego sierpniowego dnia w 1925 roku „Prusz” oświadczył nam, że Bolesław Cybis i Antoni Michalak opuszczają już mury uczelni, gdyż uważa ich za całkowicie przygotowanych do samodzielnej pracy twórczej. Oświadczenie to uzmysłowiło nam nagle, że i nas — pierwszych jego uczniów — czeka w niedalekiej przyszłości to samo. Trwożliwe pytanie: „Jak się ułoży nasze życie?” napeliło nas niepokojem i zmusiło do rozmyślań. Czy mamy pójść w rozsypek, czy też zadzierzgnięte węzły koleżeńskie zacieśnić jeszcze mocniej i pójść w życie razem? Za drugą alternatywą opowiedzieli się wszyscy. (Do grupy, która otwierała kazimierskie plenery, dołączyli: Bolesław Cybis, Eliasz Kanarek i Czesław Wdowiszewski — czyli razem z „Pruszem” było nas dwunastu).

Chcąc samą nazwą zaakcentować wyznawaną przez nas konieczność oparcia malarstwa na bazie możliwie najdoskonalszego rzemiosła, przy jednoczesnym respektowaniu całkowitej swobody wypowiedzi indywidualnej członków grupy, postanowiliśmy nazwać się „Bractwem św. Łukasza”.

Został również opracowany przez nas ceremonial wyzwoleń, który stał się sensacją uczelnianą.

Nie mniejszą, choć innego rodzaju, sensację wywołało wykonanie wspólnie przez 11 członków „Bractwa” (Wdowiszewski nie wziął w tej pracy udziału) siedmiu obrazów historycznych, ilustrujących najdonioślejsze momenty w historii Polski: „Bolesław Chrobry witający Ottona III”, „Chrystus Litwy”, „Przywilej Jedliński”, „Unia Lubelska”, „Konfederacja Warszawska”, „Odstępcy Wiednia”, „Konstytucja 3 Maja”.

O wykonanie tych obrazów, przeznaczonych dla Sali Honorowej Polskiego Pawilonu na Międzynarodowej Wystawie w Nowym Jorku, której otwarcie miało nastąpić w 1939 roku, zwrócono się do nas dopiero w sierpniu 1938 roku. O namalowaniu wszystkich obrazów przez jednego z członków „Bractwa” — ze względu na krótki termin — nie mogło być mowy. Zlecenie wykonania poszczególnym kolegom po jednej kompozycji nie wchodziło również w rachubę, gdyż nie byliśmy w stanie zachować wymaganej jednolitości wyrazu wszystkich prac. W tych warunkach postanowiliśmy malować wspólnie wszystkie obrazy jednocześnie. Do tego celu świetnie nadawała się ogromna pracownia „Prusza” w świeżo wzniesionym jego domu na górze. Toteż w końcu sierpnia zjechaliśmy się wszyscy do Kazimierza i w ciągu niespełna trzech miesięcy kompozycje o wymiarach 120x200 cm zostały wykonane. Przed wysłaniem do Ameryki wystawiono je w gmachu w salach IPS w Warszawie. Było to głośnie wydarzenie w życiu kulturalnym w naszym kraju.

Następne, stowarzyszenia wylonione z uczniów Pruszkowskiego, jak „Szkoła Warszawska”, „Loża Wolnomalarska”, „Grupa Czwarta” — to również organizmy nasycone atmosferą Kazimierza.

W listopadzie 1938 roku nikt z nas nie przypuszczał, że wyjeżdżając z Kazimierza, zostaje się z nim na długie lata. Wielu miało go już nie ujrzeć nigdy... Ale i ci, co przeżyli wojnę z takim Kazimierzem, jaki opuścili, rozstali się również na zawsze.

Tadeusz Michalak

Przygoda

URODZONY w tym miasteczku, wcześniej zdałem sobie sprawę z jego niezwykłości. W przekonaniu owym utwierdzały roje wy-cieczek, podążające z jednego wzgórze na drugie, i liczni znajomi spędzający tu swoje wakacje.

Niezorientowani turyści szukają często Kazimierza Górnego w najbliższej okolicy nie wiedząc, że znajduje się on w Krakowie. Natomiast bywalcy zawsze mówią Kazimierz nad Wisłą, pamiętając może czasy, kiedy odchodzące stąd listy pieczętowane wielkim stemplem pocztowym z napisem: „Kazimierz Dolny n. Wisłą, letnisko klimatyczne”.

Tak więc już sama nazwa miejscowości sygnalizuje jej inność. A jeżeli dodać do tego, obecne w naszym domu, liczne świadectwa literacko-malarskiej legendy Kazimierza i skierowanie przez Ojca wrażliwości brata i mojej na rodzimostę oraz polskostę krajobrazu i zabudowy Kazimierza, to jest oczywiste, iż nasze dotychczasowe dokonania zamknięte są w kręgu oddziaływań tego niepowtarzalnego miejsca.

Nasz Ojciec, Antoni Michalak, był malarzem. Był też pierwszym chyba przedstawicielem tej dyscypliny sztuki, który zbudował tu swój dom i zamieszkał w nim na stałe. Decyzja ta zapadła niemal na początku drogi twórczej Ojca, kiedy sprzedaż kilku obrazów pozwoliła Mu na zrealizowanie zamierzenia. Młodzieńcza wyobraźnia, podsycana urodą nadwiślańskiego krajobrazu, znalazła skrawek terenu na zboczu basztowej góry, gdzie według projektu lubelskiego architekta J. Siennickiego powstał dom, którego wszystkie okna skierowane są ku szerokiej dolinie rzeki. Zachowały się fotografie, na których widać pozbawiony drzew stok wzgórze przecięty fundamentami rozpoczynanego domu: obok stoi Ojciec w mundurze podchorążówki. Na następnej fotografii Ojciec widnieje w takim samym mundurze, lecz już we wnętrzu skończonego domu. Wszystko działo się więc wtedy szybko: domy powstawały, a ludzie dojrzewali.

Ojciec znał wiele opowieści związanych z Kazimierzem. Chętnie i barwnie je opowiadał, godząc się, by spisywali je inni. Ja też staram się zobaczyć Kazimierz Jego oczami, bo prawie w każdym obrazie, a namalował ich tak dużo, znajduję częstą tego miejsca i odbicie chwil niegdys tu przeżytych. Pierwszym obrazem była monumentalna „Bajka o szczęśliwym człowieku”. Ludzie i drewniana architektura Kazimierza spłótła się tu w odwiecznej opowieści o radości z życia nie idącej w parze z bogactwem. A potem przewijając się zaczął cały orszak świętych. I święty Antoni rozmawiający z wiślanymi rybami, i święty Franciszek modlący się w kazimierskim wąwozie, i Ukrzyżowania na tle kazimierskiego nieba.

W domu pod basztą powstawały coraz nowe obrazy. Coraz więcej twarzy przeniesione zostało na papier czy płótno. A lata stawały się trudniejsze dla malarstwa tego typu. Na kazimierskim niebie nikt nie chciał widzieć świętych. Portrety mogli mieć tylko przodownicy pracy i aktualni wodzowie. Wystarczyła więc wtedy jedyna zmiana tematów, aby otworzyły się sale wystawowe i muzea.

Później zaistniało coś wręcz przeciwnego. Sztuka przedstawiająca odesłana została na wszelki wypadek do muzeów, a krytykizm realizm zaczął się kojarzyć z fotografią. Przez cały ten powojenny czas trzeba było wiele sił, aby pozostać sobie wiernym: zwłaszcza że wielu z dawnych kolegów najpierw doskonale opanowało malowanie portretów wodzów, a potem kokietowało przyswojeniem różnych obowiązków „izmów”. Może trwałość kazimierskiego krajobrazu za oknem domu pozwalała wierzyć w silniejsze nad czas wartości?

Może właśnie ten dom pozwolił przetrwać różne rozczarowania, których życie Ojcu nie szczędziło? Tu, wśród ulubionych sprzętów, tworzących jedyną w swoim rodzaju atmosferę pracowni, malował ojciec swoje obrazy. Na rysunkach utrwalał twarze wielu przyjaciół i znajomych, przewijających się przez Kazimierz. Komponował witraże i polichromie do licznych kościołów.

Burliwa pierwsza połowa naszego stulecia skomplikowała zyciorysy ludzi z pokolenia roku 1900. Ojciec urodził się w mazowieckiej wiosce pod Sochaczewem. Do gimnazjum zaczął chodzić w znajdującej się pod carskim zaborem Warszawie. Na-



Dom Antoniego Michalaka

Fot. W. Stępień

stępnie, dzięki niezwykle zbiegom okoliczności, rewolucję przeżył w Odessie. Po skończonej wojnie szybko powrócił do wolnej Polski, gdzie rozpoczął błyskawiczną karierę artystyczną, miał wystawy na całym świecie, medale i nagrody, pozostając w szczególności bliskich kontaktach ze swoim profesorem w Szkole Sztuk Pięknych, znakomitym Tadeuszem Pruszkowskim, i z członkami „Bractwa św. Łukasza”, do którego należał. Następną wojną przyniosła kres wszystkiego. Dom przetrwał chyba cudem, wynosząc kilka śladów po pociskach. W jego murach zbierali się partyzanci. Mieszkali też żołnierze gotujący się do forsowania Wisły w 1944 roku.

Powojenne lata przyniosły różne nastroje. Są to czasy zbyt jeszcze bliskie, aby mieć do nich chłodny stosunek. Powstała nowa legenda nowego Kazimierza. Ale to już zupełnie inna historia, chociaż również dziejąca się i w naszym domu.

Życie Ojca zamknęło się między dwoma kazimierskimi górami: na jednej wznosił dom, na przeciwległej wybrał miejsce ostatniego spoczynku. Po między nimi zawiera się miasteczko, w którym ciągle następnymi ludźmi zostają kawalerami jego księżyców. I nowi przybysze stawiają pierwsze kroki na rynku, nie przypuszczając, że może i dla nich Kazimierz stanie się miejscem, gdzie wzniosą swój dom.

ZNALEM Kazimierza Skoczylasa, Pruszkowskiego i wielu innych malarzy, urzędników niepowszednią urodą tego miasteczka, tak tłumnie i wiernie go odwiedzających. Znałem Kazimierz z pięknych zdjęć moich ówczesnych znakomitych kolegów, Składanka i Barzykowskiego, świetnie fotografujących wspaniałe frontony renesansowych kamieniczek, farę, klasztor, studnię na rynku, Górę Trzech Krzyży. Ale spotkałem się z Kazimierzem nad Wisłą dopiero latem 1931 roku, kiedy to wybrałem się z żoną, żeby tam spędzić wakacje. Nawet nie domyślałem się wtedy, że to spotkanie stanie się jedną z największych przygód fotograficznych w moim życiu.

Był to czas, kiedy dopiero co pojawiła się „Leica”, niesłychanie poręczny, rewelacyjnie sprawny, szybkostrzelny notatnik fotograficzny — wspaniałe narzędzie, całkowicie różne od bardzo nieruchomego aparatu na klisze szklane o formacie 13x18 cm, jakim posługiwałem się dotąd w moim zawodzie fotografa-portrecisty.

Z taką „Leicą” właśnie zjechałem do Kazimierza — uroczego, zachwycającego swoją urodą i niesłychanym bogactwem przyrody, kontrastującej z nudną jego mieszkańcówną, w większości swej biedotą żydowską. Miasteczka prześwietlonego jakimś swoistym, tutaj tylko spotykanym światłem o przedziwnym kolorze i nasyceniu, skupionego wokół rynku, na którym stale coś się działo. Jeden przy drugim, bo nie było jeszcze wtedy żadnych podcieni, widniały przy nim ubogie sklepiki, w których jednak można było kupić wszystko, co człowiekowi potrzebne. Na tym placu dwa razy w tygodniu odbywały się targi i wtedy kocie lby bruku były niemal w polowie zasłane zwiezionymi ze wsi na sprzedaż najróżniejszymi, pięknymi naczyniami z gliny. Zgiełk, stłoczone stragany i uwijający się wśród nich urlopowicze i malarze. Raz w tygodniu, w sobotę, rynek zasypiał i trwał w bezruchu, w przedziwnej atmosferze spokoju i odświętnej, do dziś dzwoniącej mi w uszach ciszy.

Grodarz był wówczas jeszcze czyściutki, nie o-cembrowany, niezabetonowany i pamiętam, jak kobiety zmywały w nim naczynia i prały bieliznę. Wijąc się i szmerząc w gąszczu zarośli, strumyczył Grodarz w podwórczkach między domami, aby w końcu trafić do szeroko rozlanej, pełnej piaszczystych łach, ogromnej i groźnej Wisły, która w czas powodzi podchodziła niemal pod rynek. Wisły, na której rozległa bezkresną dolinę tak przepiękną widok z Zamku, a najpiękniejszy z pięknych — z cypla na Albrechtówce. Plaża była wówczas na wprost ulicy Nadwiślańskiej, na obrzymiej lasze. Przeprawiano się na nią, za groszową opłatą, dużym czółnem na pych, a przewoźnikiem był bardzo przystojny Żyd, mówiący nieskazitelną polszczyzną; niestety, nie pamiętam już jego imienia. W niedzielę przygrywała na plaży dęta orkiestra kolejarzy z Puław, a po wielkiej rzece kursowały statki pasażerskie do Warszawy i Gdańska.

Mieszkaliśmy na szczycie wąwozu, tuż przy grobie Malachowskiego, w pięknym domku z zagładajacymi do okien malwami, na skraju sadu — z kotkiem o ślicznym imieniu Zdziwiano. Mówiło się, że mieszkamy u Króla — tak, zdaje się, nazywał się nasz gospodarz. Wąwóz był wtedy jeszcze zupełnie niezabudowany, mroczny i bardzo mokry. Pamiętam, jak po deszczu zjeżdżało się z góry w tenisówkach po gliniastym gruncie w dół, jak na wrotkach, na dobry obiad u Berensa.

Tak, byłem zachwycony nastrojem i pięknem tego miejsca na ziemi. Zachwycony tak bardzo, że nie potrafiłem się ustrzec — nawet teraz, po upływie pięćdziesięciu lat — od rozpisania się tutaj na ten temat, choć przecież miałem zamiar opowiedzieć o czymś innym: o Kazimierzu, do którego wszedłem z „Leicą” od podwórka, nie od frontu, który zobaczyłem takim, jakiego nikt przede mną nie dostrzegł. O Kazimierzu przycupniętych, modlących się w sobotę starców, drzemających staruszek, dzieci gromadnie biegnących za wozami wędrownych Cyganów, pełnym podwórek i niekończących się rozmów sąsiedzkich... O moim Kazimierzu, którego treścią było życie i ludzie tego miasteczka, nie jego bogate elewacje, ale podwóreczka, zaułki i wyzierająca z nich bieda — smutna prawda o ich egzystencji. O Kazimierzu, którego już nie ma, o moim fotograficznym cyklu kazimierskim z tamtych lat, kiedy odkryłem dla siebie urzekający egzotyzm miasteczka, jego miesz-

Józef Czechowicz

PROWINCJA NOC

ze wzgórz promieniejące i zielone za dnia
w zmierzchu piękno kazimierza wzbiera w wonny nadmiar

żarzą się gwiazdy sypią broczką
w gwiazdach wypony baszta mlecznej drogi nurt
miasteczko ma okna z bursztynu
i tak ukazuje się oczom
zawieszona u gór

widnokrąg z ucichłym zamkiem

i jeszcze tysiąc trzykrzyżką
oddycha bardzo blisko
jak by rękę położył na kłamkę
nie otwierając drzwi

nie otwieraj innego raję

dość mi
że drugi mleczny szlak
także gwiazdzisty
w dolinie spoczywa płowej
gdzie pod wieczór zapachem czystym
wisła ogromna mając ramiona założone pod głowę
leży na wznak
łpi
[...]

(Z J. Czechowicza „Wierszy wybranych”,
Warszawa 1979.)

z „Leicą”

Benedykt Jerzy Dorys

kańców, jego bytu i przepływającego życia. I tym oto Kazimierzem byłem zafascynowany.

Zawsze, od początku mojego fotografowania, miałem jakąś niechęć do robienia „pocztówkowych widoczków” (takie to śliczne, że „pstryk” i samo wychodzi). I zawsze też na moich zdjęciach był — na bliższym, czy na dalszym planie — człowiek, nawet wtedy, gdy na zdjęciu nie było go widać. Może to moja dyspozycja psychiczna spowodowała tak ogromną fascynację tym, co w Kazimierzu dla siebie znalazłem... Na codzień specjalizowałem się w portrecie, w którym nie zadowalało mnie jedynie odwzorowanie zewnętrznego, powierzchownego obrazu modela. Zawsze starałem się dotrzeć głębiej, utrwalić na kliszy również cechy osobowości portretowanego człowieka. Może też specyfika nowego aparatu, jego fantastyczna sprawność narzucała sposób posługiwania się nim i tematykę, tak bardzo różną od tego, co na codzień robiłem profesjonalnie... Przecież prawie wszystkie te zdjęcia wykonałem z ukrycia, właściwie „skradłem”, bo Żydzi nie pozwalali się fotografować — zabraniała im tego religia.

A może to wszystko razem oraz inne jakiejś czynniki, których sobie nie uświadamiałem, sprawiło, że przez cały czas pobytu w miasteczku szalałem, fotografując z pasją od świtu do zmierzchu, że po upływie roku wróciłem do Kazimierza powtórnie, aby z nie mniejszą pasją zdjęcia dół tego cyklu kontynuować, pogłębiając i poszerzając temat.

Po powrocie z urlopu wywołałem filmy. Nie wykonałem z nich ani jednej odbitki, ani jednego powiększenia. Takich zdjęć nikt wówczas nie potrzebował, nikomu by się nie przydały. Były potrzebne jedynie mnie samemu. Stanowiły przecież rezultat mojej pasji, mojej prawie — miłości. Wystarczyło mi, że kilkakrotnie obejrzałem sobie taśmy negatywów pod światło. Byłem uszczęśliwiony.

Negatywy przeleżały przez wojnę, okupację i powstanie, blisko trzydzieści lat, schowane w piwnicy razem z całym moim archiwum. Niestety, podczas bombardowania piwnica została zasypana gruzem i dopiero po wojnie część negatywów, które nie uległy zniszczeniu, zdołałem odkopać. Z tej to resztki ocalałych filmów powstał cykl kazimierski.

Zarówno forma, zestaw, jak i charakter tych zdjęć były w czasie, kiedy je robiłem, nieznanne, nie istniało jeszcze wtedy pojęcie tak skonstruowanej opowieści fotograficznej, reportażu fotograficznego. W artykule poświęconym mojemu „Kazimierzowi” („Fotografia” nr 2/6 z 1977 r.), krytyk Romuald Klosiewicz pisał: „[...] gdyby reportaż Dorysa był owocem jakiegokolwiek wyrachowania — nie mógłby w latach trzydziestych narodzić się w tej formie. Tak w Polsce wówczas nie fotografowano, tak również (o paradoksie) nie fotografował sam Dorys. Chyba dlatego światło dzienne, „Kazimierz” ujrzał tak późno”.

Część tego materiału pokazałem po raz pierwszy dopiero w roku 1960, w ramach mojej wystawy retrospektywnej. Całość materiału — 75 prac — prezentowałem pierwszy raz na wystawie w roku 1977. Po tej ekspozycji krytyka fotograficzna, ku mojemu zdumieniu, zaklasyfikowała ten cykl, który był dla mnie portretem miasteczka, jako pierwszy w historii reportaż fotograficzny wykonany w Polsce. Stwierdzono to 46 lat po powstaniu „Kazimierza”. I taki oto jest finał mojego szaleństwa z „Leicą”, mojej kazimierskiej przygody.

Co roku wczesną jesienią bywamy z żoną w Kazimierzu. Za każdym razem, kiedy wychodzę z pięknego, Noakowsko-Sicińskiego wnętrza SARP-u i po raz pierwszy staję na rynku, nieodparcie przychodzi mi na myśl słowa komentarza, napisanego w roku 1961 przez p. Marię Kuncewiczową i zanotowanego na taśmie krótkiego filmu „Nad Wisłą” w reżyserii M. Kwiatkowskiej, który zrealizowano na podstawie zdjęć z mojego „Kazimierza”: „Jeżeli nie odrywać wzroku od ziemi, można na zakurzonych brukach odczytać ślady minionego czasu... Od Wisły załatywało dymem drzewnym i powidłami... Życie nie było słodkie ani łatwe, ale ukochane... Ci, co kochali tamto życie, czują się teraz nieswojo na kazimierskim rynku, piękniejszym, czystszym niż dawniej i pustym jak scena w antrakcie... Na tej scenie sztukę tragiczną już odegrano... Wkrótce zjawia się tu jak zwykle — jak co roku — ludzie zachwyceni miasteczkiem, przyjadą ci, co pokochali nowy, odnaleziony kształt rynku — i ci, którzy z uporem szukają cieniów żydowskich kupców, zapachu mrocznych sklepików, melodii starych, które też zabiła wojna...”



Z cyklu „Kazimierz n/Wisłą 1931/32”. Rynek



Z cyklu „Kazimierz n/Wisłą 1931/32”. Rozmowa I



Z cyklu „Kazimierz n/Wisłą 1931/32”. Podwórko III

Fotografował: B. J. Dorys



Dom Marii i Jerzego Kuncewiczów

Fot. Z. Zugaj

„Swoj”

Maria Kuncewiczowa

PIERWSZE pytanie, jakie po powrocie w 1958 usłyszałam w Kazimierzu, było: kto idzie? Zatrzymałam się wtedy w Domu Architekta, bo nasz zajmowała dziecinna kolonia letnia Urzędu Bezpieczeństwa. Nie chciałam tam iść nie ze względu na Urząd — dzieci nie reprezentują urzędów — tylko że przesładowała mnie ciągle „Zmowa nieobecnych”. Dom, który się nie spalił, na pewno był inny niż fikcja. „Anto-siu — mówiłam do przyjaciela, malarza — czy ja muszę? Ja już nie chcę tego domu, ja się boję”. — „Chodź, Mario, nie bądź teherem. Popatrz, jaki księżyc! To ten pierwszy, czerwony, duchy jeszcze nie straszą po wąwozach”. Poszliśmy.

Było widno, jak tamtej nocy, kiedy Sylwia z Jeremim bali się nadebrać na robaki świętojańskie, a Flora srebrzystą chustką odczynała uroki. Znikła chata powrótnika, stąd matka wygnała kiedyś „Majowe stadło” ze złości na tyle kochania; znikł plac pośrodku drogi, i stojak, na którym piekarz stuzdził swoje chleby, a kozy tręcały je sennymi pyszczkami. Znikły widome znaki nędzy — wawóz był brukowaną aleją, obrzeżoną schludnymi domkami. Konar rosnący poziomo i tak blisko, że chwycił za włosy, także znikł, ale pień stał, wyższy, prosty, z jedną tylko bliźnią zarosłą po odszczepieniu. Ileż to miłych osób przeszło pod tym konarem, ile dziennych powrotów z plaży i nocnych spacerów we dwoje przy granicę świerszczy i śpiewie słowika! Konar ucięto, olcha trwała, ta sama co w „Dwóch księżycach”.

Szliśmy z Antonim pod górę, milczeliśmy, noc i tak była hałaśliwa; od rynku donosił się zgiełk widmowych przekupniów i zmarłych klientów, tragarz Ruchlinger wypelzył z kirkutu złorzeczyć nowemu burmistrzowi, stary Szulim ciągle gdzieś tu płakał na nie-

dobłą synową, Nuchim zgrzytał łopata grabarza odkopując spatynowane świeczniki, Prusz, nie wiadomo skąd powrócony, ciągnął balladę o Mściwoju, sowa chichotała jak Flora. Marta deklamowała wiersze, których przed wojną nikt jeszcze nie napisał, pod ręczną ze szwalni na Nadrzecznej śpiewały „Oczy czarne” głosami sprzed pół wieku, Eliasz nieżywy i Feluś żywy, goniąc Inkę nieżywą, chrzęścili gałęziami, a do mnie, tylko do mnie, wolał z ciemności mały Witek w słomianym kapeluszu. Wzruszali mnie, nekali mnie, ich mowa była wczorajsza, nie rozumiałam, o co chodzi. Tym bardziej że tłoczyli się także do mnie chicagowscy studenci z jakimiś wątpliwościami i londyńscy cockneye gardłujący przeciw cudzoziemcom, smutni wygnańcy i obrażeni emigranci — orszak głośny, dzisiejszy, jednoznaczny. Jak dzikim kaczkom w Kolumbii Brytyjskiej, noc pomieszała mi się z dniem, struny księżycowe z przewodami wysokiego napięcia, fantomy z naturą i natura z ludzkością. Czułam, że śmierć jest blisko.

Schodków wyrąbanych kiedyś przez sąsiada Wisznio na stoku wzgórze nie było, wchodziło się teraz „do nas” dróżką obok szpaleru, deska ugięła się pod stopami, kiedy przekraczałam rów. „Antoni, czy to ten mostek, co Jerzy położył ostatniego lata?” — „Chyba ten, dębina jest mocna”.

Brama inna. Druciana, nie drewniana. Świerszcze grały, sowy chichotały, trawy rosły pachniała maciejka. Wystraszony dziecinny dyskant: „Kto idzie?” — „Nie przejmuj się — szepnął Antoni. — Kolonia ma obóz w parku. Wystawiają czujki”. Co miałam odpowiedzieć? Te dzieci mnie nie znały, ich wychowawcy mnie nie znali. Kto znał? Sowy, bo one długo żyją. Drzewa, bo tylko taka w nich zmiana, że z brzoźek wyrosły na brzozy. Płatały się w myśli głupie odzywki: „Jedna pani... dawna właścicielka... ktoś z daleka”. Dzieciak nacierał, pewniejszy siebie, bo zbudził kolegów, żwir chrzęścił, szli na mnie gromadką, maciejka przyplęnęła gęstą falą od strony domu, nie istniejący paw zakrzyknął na gałęzi, nie istniejący Franciszek gwizdnął na psa — popadłam w stan łaski i odkrzyknęłam: „Swoj”!

(Fragment z książki M. Kuncewiczowej „Natura”, Warszawa 1975).

Boże,

MOŻNA by tak zacząć i nie byłoby to wyznanie zupełnie pozabawione sensu i podstaw. Uczucia w stanie czystym obce są jednak ludzkiej naturze i nie odpowiadają do końca rzeczywistości.

W Kazimierzu spędziłem mniej więcej jedną piątą z dni, które dane mi było do tej pory przeżyć. Dni, nie nocy, bo taki głupi, żeby w Kazimierzu zamieszkać, to już nie byłem. Ów okrzyk — w odniesieniu do pewnego okresu szczery — wyrażałby nie tyle nienawiść, co zniechęcenie, strach, znudzenie, zmęczenie, brak sensu, a to wszystko z kolei było po części konsekwencją mojej własnej niewiedzy, mojej własnej głupoty, naiwności własnej mojej. Dość miałem Kazimierza, bo nie spełnił moich nadziei na niezależność. Coś takiego jak kariera mnie nie interesowała. Chciałem być pisarzem i uważałem, że nim byłem. Brakowało mi odwagi, by żyć z literatury. Miałem zresztą pewne prywatne bardzo porachunki z literaturą i życiem, uważałem się za — powiedzmy — pisarza w stanie kryzysu. Marzyła mi się mimo wszystko niezależność i stąd, gdy zacząłem szukać pracy, zależało mi na tym, aby nikomu nie podlegać. Kierownik muzeum regionalnego? Czemuż by nie? W Kazimierzu? Cudownie. Spokój, cisza, etc., etc. Były dzwonki ostrzegawcze? Były. „Wiecie, gdybyście mieli skończone studium kulturalno-oświatowe...” W końcu jednak, 1 maja 1970 roku, objąłem to, pożałujcie Boże, kierownicze stanowisko. Pożałujcie Boże, bo z potrójną podległością, a każda z władz nadrzędnych czego innego chciała. Moje podwładne — półtorej dzie-

Światło parowało zewsząd

Bohdan Czeszko

DLA dzieci wówczas urodzonych te czasy są historią i to historią mało znaną, bo przekazywaną w postaci zbioru możliwie mało znaczących ogólników. Umarło wielu moich nauczycieli ówczesnych, wśród nich kilku wspaniałych malarzy, na zawsze wpisanych w historię polskiej sztuki — Kowarski, Cybis, Nacht-Samborski... Niektórzy moi koledzy profesurują i rektorują po wyższych uczelniach plastycznych, niektórzy pomarli trochę zbyt wcześnie, kilku zyskało rozgłos międzynarodowy. Dziewczęta wszystkie zapewne mają już za sobą paskudny okres klimaksu... „Nie pytaj, kiedy hoże dziewczki idą stąd, y na jakie brzegi, lżbyś nie wspomniał tej przyśpiwki: ach, gdzie są niegdysiejsze śniegi”.

Wtedy nigdy i nie pomyślałem, że przyjdzie mi kiedykolwiek napisać takie zdania, że będę je mógł a nawet musiał sformułować dla rozgrzania stygnącej magmy minionego czasu, owego perfectum zakrzepłego w swej nieprzemienności. Nic się już z tym nie da zrobić poza próbą zapisania w nadziei, że do kogoś zabawi. Każdy z nas miał wtedy, przed sobą bezbrzeżny, zda się, ocean czasu, nieprzebrane bogactwo tego dobra, jedynego bodaj poza większym lub mniejszym talentem, jedynego, jakim naprawdę dysponowaliśmy.

Także i to trzeba powiedzieć, wspominając, że wszyscy przeżyliśmy wojnę, i to nie na zapleczku, i czegoś nas ta wojna nauczyła w złym i dobrym sensie, a mam tu na myśli głównie naukę antropologii stosowanej. Dziećmi nie byliśmy w każdym razie i to od paru potwornych lat. Także i powojenne czasy, a także i te, które wówczas przeżywalismy, syciły nas nowymi informacjami w dziedzinie wiedzy o człowieku jako podmiocie historii, to znaczy wiedzy o tym, co da się zrobić z człowieka. Materiał do kształtowania stanowiliśmy raczej niepodatny z racji zarówno zadufania, jakim syciło nas i posiadanie, i zdobywanie umiejętności nader dziwacznych, a mało konkretnych, służących ludziom w tej trudnej do zdefiniowania strefie egzystencji, jaką jest domena przeżyć estetycznych, jak i hardości właściwej wszystkim wojownikom, a też oporności na działanie drętwej mowy i może nie tyle cynizmu, co umiejętności wątpienia. Nic bowiem tak nie uczy sceptycyzmu, jak uprawianie jakiegokolwiek sztuki w sposób poważny. Nigdzie bowiem dialektyka polegająca na kreacji, jej za-

przeczeniu i kolejnemu poszukiwaniu kreacji nie przebiega tak ewidentnie, w tak szybkim rytmie i nie stanowi tak oczywistego warunku działania. Jeśli oczywiście rzecz traktuje się poważnie, a my traktowaliśmy ją z bałwochwalczą powagą.

Rychło zresztą miało się ujawnić z całą bezwzględnością, bo już i pierwsze jaskółki ćwierkały nam o tym, że mylimy się, sądząc, że pozostaniemy w naszym wytwornym azylu, plawiąc się w kolorach i formach, poszukując z mozołem sposobów na wygadanie swej jaźni, łowiąc wśród niepowodzeń załóżki myśli malarskich tak trudnych do zwerbalizowania. Ten mozoł miał być nam odjęty w ten sposób, że zostało zadekretowane, iż to, co nazwałem „malarskim myśleniem”, w ogóle jest brednią, natomiast ważny jest po prostu temat, czyli to, co widać na obrazku, a widać ma być określone rzeczy, takie, jak portret konkretnego przodownika pracy, pompę na Żuławach, sceny z historii ruchu robotniczego i tak dalej. Ale to nowe, które do nas szło wartkim krokiem, jeszcze nie było za drzwiami. Jeszcze byliśmy naznaczeni wzniosłością sztuki, żywiłiśmy przekonanie, że tak właśnie jest bez względu na zasadność takiego mniemania.

Jeśli wspominałem o tym, że przeżyliśmy wojnę, to także dlatego, by napomknąć, że mieliśmy pewne sprawy do zrekomensowania i jeśli powiem, że główną i scalającą wszystko inne była sprawa naszej nie przeżytej młodości, chyba będę bliski prawdy. Tak więc spod gruzów i żuźla wojny, które wcale nie pozostały za nami, lecz były w nas, eksplodowały gejszy szaleństwa, wygłupu, fanfaronady, abnegacji i jak kto chce, tak niech nazwie owe bakchiczne czy ludyczne erupcje.

To nie myśmy odkryli Kazimierz nad Wisłą, lecz nasi poprzednicy i to na wiele lat przedtem, zanim komukolwiek z nas przyszło do głowy, by wziąć do ręki ołówki czy pędzel. Jeszcze za naszych czasów kołatały się wokół zamku duchy członków „Bractwa Świętego Łukasza”, a ludzie tutejsi w ogóle nie zwracali uwagi na malujących pejzaże adeptów. Malarze byli przypisani temu miastu i tak jest chyba po dzień dzisiejszy. Tak więc my przyszliśmy niejako na gotowe, lecz rzadko a może i nigdy więcej nie dane nam było przeżyć takiego ośnienia, jak to, które towarzyszyło poznaniu Kazimierza.

Nie przychodziło to od razu, przynajmniej ja nie zostałem porażony iluminacją, jak Szawel wiarą na drodze do Damaszku. Lecz rychło przyszedł

ten moment, przyszedł chyba wraz z pierwszą próbą namalowania czegośkolwiek, bo przecież po to się na ten plener przyjechało. Było to chyba doznanie światła. Światło parowało zewsząd. Z kurzu drogi i kamieni bruku, ze ścian i z nieba, było wszechobecne i natrętne. Gdy słońce lata stało w zenicie, stawało się tak obezwładniające, że po kilku próbach sprośtania temu wyzwanemu zaniechałem daremnych borykań. Cenne były godziny wczesnego popołudnia aż do zmierzchu, kiedy to następowało ujawnianie się koloru i trwał już do wieczora ów przemarsz pogłębiających się barw. Kiedy piszę „kolor” lub „barwa”, pomyśleć można, że Kazimierz zapamiętał mi się kolorowo na podobieństwo owych rekonstrukcyjnych zabiegów, na odbudowanych murach niegdyś starych miast. To nie tak. Kolor Kazimierza zapamiętał mi się jako gama szarości i szilumionych ugrów, przetkanych przysrebrzoną zielenią, spatynowane brązy, i ni z tego, ni z owego strzelająca nagle różem fasada świeżo pomalowanej kamieniczki czy zółcień farnego kościoła. Miałem zawsze tendencję do niepotrzebnego ekscytowania się kolorem i zanim Kazimierz mnie obezwładnił, często lazałem ze stalugami poza miasto, gdzie drzewa, pobielane chałupy pod szerniałymi strzechami, pola, parowy. Albo nad Wisłę, której nigdy w końcu nie namalowałem. Poszukiwałem soczystości, pobudzenia gęstością koloru, inspiracji w dramatach przestrzeni nie dającej się ujarzmić, wdusić w prostokąt płótna. Traciłem czas, bo taki pretekst czy inspirację można znaleźć wszędzie. Teraz, gdy siedzę na Mazurach i patrzę na niebo późnego lata lub jesieni nad jeziorami, pełne apokaliptycznego zmgania spiętrzonych zwalów chmur nad czarnymi wodami, na bethowenowskie zderzenia żelaznej i gromów kolorystycznych jesieni, kiedy widzę jeszcze zmęczoną zimą ochrę umarłych traw i trzciny i już szepczące w swych pianissimach akordy pierwszych zieleni i kiedy wiem, że nigdy nie pokuszę się o to, by spróbować to namalować, bowiem strach zbanalizowaniem, a więc zniszczeniem doznania, nakazuje mi rozstanie się z nie-wczesnymi ciągłotami, teraz już wiem, że wiele z tych kazimierzowskich miesięcy w kolejnych latach zmarnotrawiłem, nie potrafiąc, a może też podświadomie lekając się, dotknąć i pochwycić skarb tamtejszego światła. Później tego próbowałem i teraz, kiedy piszę o moich Kazimierzach, bo było ich kilka, jako że nigdy nie bywa człowiek w tych samych miejscach, kiedy opuszcza je i powraca ponownie, przeglądam gwaszowe notatki, które robiłem w ostatnim roku, kiedy tam byłem. Robiłem ich bardzo dużo, jakby w przeczcuciu, że już tu nie powrócę nigdy, by malować, jakby w rozpaczliwej zachłanności podobnej do zachłanności starców schodzących ze świata. Wtedy jeszcze nie wiedziałem na pewno, że tak będzie, ale gnębiły mnie udręczające przeczcucia, zawsze tak było, że czułem więcej, niż wiedziałem. Te notatki były pozytywne o tyle, że namalowałem później dwa czy trzy

jak ja nienawidziłem Kazimierza!

Bohdan Zadura

czynny, bo jedna na pół etatu — bardziej były niezależne. Zbiory skromniutkie, możliwości żadne; w stutyściennym rocznym budżecie na zakupy czterech tysięcy. Plany i sprawozdania wymyślono wówczas miesięczne. To wszystko było surrealistyczne, jak ten eksponat etnograficzny — pisanka z Włodzimierzem Ilczem i napisem w otoku „Wesołego Alleluja!” o którą wzbogaciły się zbiory jeszcze przed moim przyjściem dzięki konkursowi przez Muzeum zorganizowanemu, surrealistyczne, jak ta formułka „zabięgom profilaktyczno-konserwatorskim poddano część zbiorów etnograficznych”, co oznaczało rozwieszenie na płocie zapasek, jak działalność naukową, którą niby to mieliśmy prowadzić. „Mój empiryczny kontakt z tzw. życiem, potwierdza, niestety, moje uprzednie wyobrażenia o tzw. rzeczywistości” — zanotowałem w dzienniku. Tamże zapisałem pod datą 13 października 1970: „Spotkanie z Kononowiczem, zgarbiony satyr w pochłapanych farbami spodniach, spod koszuli czy kurtki raczej prześwieca nagi tors. — Szczęśliwie pedzłem jak głupi osioł. Ale jak rozpętałem rozporka to jeszcze nie jest jeszcze miłość, tak machanie pedzłem nie jest jeszcze malarstwem. Ano, zobaczmy, wszystko jest gdzieś zapisane, jak mawiał Colas Bréugnon — mówi, żegna się i odchodzi”. Był więc poza tym moim urzędniczym Kazimierzem, dającym wątpliwą przyjemność studiowania anatomii lokalnej władzy, Kazimierz inny, czasem też między ósmą a trzecią. Przecież już po roku byłbym z Kazimierza uciekł, gdyby nie zreorganizowano Muzeum. Dzięki reorganizacji straciłem kierownicze stanowisko i wiem od tamtej pory, że można fakt taki witać z radością. Nie musiałem już „reprezentować na ze-

wnątrz”, nie musiałem zmuszać się do wytwarzania szumu informacyjnego (byłem na tyle inteligentny, by szybko pojąć, że o to w gruncie rzeczy chodzi, ale nie dość inteligentny, by z wiedzy tej wyciągnąć wnioski), nie groziły mi już rozmowy w rodzaju tej, jaką wykorzystalem w powieści „A żeby ci nie było żal”. („Pytanie do was jedno mam. Członkiem klubu naszego — oczywiście — jesteście? Nie? a to bardzo niedobrze. Ale być możecie”. Po zostaniu tajemnicą cenzora, dlaczego słowo „klub” bardziej było cenzuralne niż słowo „towarzystwo”, którego użyłem).

Z punktu widzenia korzyści pisarskich nie mam powodu, by się na Kazimierza skarżyć. Z kazimierskich doświadczeń wynikało parę opowiadań, które weszły do tomu „Patrycja i chart afgański” („Toronto tope”, „W innych ścianach inne sprawy”, „Wyjście”, „Apteka”, „Raport”, „Sebastian”, „Rozbieg”), z tamtych doświadczeń zrodził się tom wierszy „Małe muzea”, w tytułowym poemacie jawnie nawiązujący do muzealnych realiów.

W Kazimierzu spotykałem ludzi, których znałem wcześniej, poznawałem nowych, niekiedy w okolicznościach anegdotycznych. Zależało mi na spotkaniu z Kononowiczem, a nastraszono mnie, że to dziwak, zamknięty w sobie i w ogóle szalenie z nim trudno. Poprosiłem więc pannę Mirkę, pomoc muzealną, o pomoc. Znała go i obiecała, że spróbuje mnie z nim umówić. Udało się? — pytam. — Przyjdzie o dziesiątej. — Co mu pani powiedziała? — Powiedziałam, że kierownik ka-

zał mu przyjść do Muzeum. Przyszedł i okazał się najnaturalniejszym z ludzi.

Któregoś dnia do mojego pokoju, który był i gabinetem kierownika, i magazynem wszystkich działów muzealnych (przez wzgląd na swoje filozoficzne wykształcenie postawiłem na biurku gipsową głowę Sokratesa, przejętą przez Muzeum po Karolu Sicińskim, i pożeniłem ją z etnografią, wkładając na tę głowę kapelusze ze słomy) zapukał mężczyzna z fajką. — Czy zastałem pana Zadurę? — Tak, to ja. — No popatrz, stary, zupełnie cię nie poznałem. Gdy powiem, że widziałem go pierwszy raz na oczy, będzie oczywiście, że był to Aleksander Rozenfeld.

Siedem lat to dużo, dość dużo w życiu człowieka. Nazbyt wiele się w ciągu tych siedmiu lat zdarzyło, bym potrafił jednoznacznie i krótko powiedzieć, czym jest dla mnie Kazimierz. Był, jest i będzie pewnie miastem malarzy. Iluż jednak z tych, którzy malowali tu, kiedy zacząłem swoje dojeżdżanie na Senatorską, odeszło? Postaci nakładają się na płótna, książki na pejzaże. Mam jakiś Kazimierz Michałaka i jakiś Kazimierz Filipiaka, Kmioty i Lazorka. Mam Kazimierz z książką Marii Kuncewiczowej, z powieści Siemińskiego „Niech cię odleci mara” i z powieści Piotrowskiej „Plecami przy ścianie”. Ale ten mój Kazimierz to nie tylko malarze, pisarze, aktorki, panie z „Czytelnika”, które częściej spotykałem na Rynku niż na Wiejskiej w Warszawie. Kazimierz to również miejsce, gdzie nie czekało się nigdy na listonosza, a czekało się na pana Góreckiego. Kazimierz to pogrzeb jaskółki, która wypadła z gniazda, i z chodnika pod Kamienicą Gdańską zabrali ją Lazorkowie, by się podleczyła: leży mar-

twa na spodeczku z bułką i z muchami; ma pan łopate? — pyta przyjaciółka Lazorków i zakopujemy jaskółkę pod płótnem, wśród pachnącego groszku. Kazimierz to przerażona drapieżność — łasica ślizgająca się po śliskiej podłodze Kamienicy Celejowskiej któregoś z późnojesiennych popołudni. Kazimierz to niebo w nocy sprawiające wrażenie rozgwieżdżonej aksamitnej przestrzenności. Kazimierz to szalet na targowicy, którego ściany pokrywała literatura ulotna, lecz godna eseju, błelony tak rzadko, iż zdawało się, że owe inskrypcje przetrwają wieki. Kazimierz to pan Antoni, który z wikliny potrafi zrobić wszystko, a w swoje imię wszystkim paniom przynosi bukietki kwiatów, mężczyznom papierosy. To szafiry cień w wąwozach, gdy kwitną przylaszczki. To także — jednak wracam do malarzy — obraz na wystawie malarzy realistów: wieżowiec Manhattanu rzucający cień pod zachodzące słońce. To konkurs na rzeźbę w śniegu. To William Saroyan rozmawiający z Jerzym Kuncewiczem, a wcześniej pani Maria biorąca mnie za Johna Ashbery'ego i witająca mnie po angielsku w maju zeszłego roku. To dworzec autobusowy i orzechy jesienią. To przewodniczący PMRN zaproszony i przeprowadzony przez Filipiaka na jego wystawie, zadający przy wyjściu pytanie: — Ciekawe, co by o tych obrazach powiedział psychiatra? To jaśminowa herbata u Jagi Bronowskiej. To krzyże na Górze Trzech Krzyży, na które drzewo wiozłem z puławskiego tartaku. To kamienne tablice zdewastowanego kirkuta przy drodze do Opoli. To zapach klasztoru. Bzy kwitnące na Albrechtówce. Kot siedzący na parapiecie w Domu Architekta, któremu z oka spadła łza. To, czego na kilku stronach nie da się nawet wyliczyć...

pejzaże, już w Warszawie, i w jednym z nich, jak sądzę, na młarę mych umiejętności Kazimierz namalował. Myślę, że gdybym tam jeszcze raz powrócił i zaprzeczywszy temu, co mi się udało, znów solidnie popracował, może wynikłoby z tego coś, o czym warto byłoby mówić. Nie chodzi tu jednak jedynie o pejzaż kazimierzowski, a w ogóle o malowanie, ponieważ Kazimierz, nie tyle zawartym w nim pięknem, co siłą inspiracji był ważny. Parował zeń dany temu miejscu imperatyw malarzkiego myślenia. I nie tylko, bowiem fascynacji tym miejscem ulegli i chyba ulegają nadal ludzie różnych profesji artystycznych, poszukujących azylu wśród „zgiełku i szaleństwa” tego światła. Myślę, że poszukują także ludzkiego wymiaru urbanistycznego i architektonicznego dla swej egzystencji, albo przynajmniej odpoczynku od tego, co zwiemy nowoczesnym miastem. Zadziwiająca jest, że jednym z pierwszych domów wypoczynkowych zbudowanych w Kazimierzu był dom polskich architektów, a może i nie zadziwiająca, ponieważ oni wiedzieli na pewno, co czynią, oczywiście gdzie indziej.

Wspomniałem, trochę bezprawnie, o malarzkiej sekwencji mojego żywota, bezprawnie bowiem zdradziłem malarstwo. Piszę o zdradzie, co niepoehlebne, ale czynię tak świadomie, ponieważ zmienić profesję można bez jakiegokolwiek ohydę wtedy, gdy nie jest naznaczona, choćby w subiektywnym mniemaniu, charyzmą. A w moim przypadku tak właśnie było czy raczej sądziłem, że tak właśnie jest, co na jedno wychodzi. Do pisarstwa nigdy nie miałem takiego stosunku, może dlatego właśnie ci, którzy mówią mi, że nie ostatni jestem w tym fachu, mogą mieć rację. Muzy, jak wiadomo, są kobietami i przesadna adoracja w stosunkach z nimi jest błędem. Wspomniałem o malarzkiej sekwencji mojego żywota, pisząc o Kazimierzu, bo on ją niejako wyznaczał i punktował; innych Kazimierzy nie miałem i mieć nie chciałem, ponieważ byłoby to równie parszywe, jak udawanie miłości, kiedy się skończyła.

Buzowała w nas zachłannie dożywana młodość, którą odrabialiśmy, jakby cokolwiek dało się odrobić. Nie rozmawialiśmy o wojnie i o wojennych przeżyciach. Taka była milcząca umowa. A także opowiadać o tym trudno. „Wtedy oni przyszli i później byłem w Oświęcimiu”... „Rzuciłem granat, skoczyłem w wybuch i mimo to skosili mnie”... „Leżałem na barykadzie, a dwa czołgi nadjeżdżały cholernie powoli”... Co to znaczy? Jak opowiedzieć Oświęcim, skok w natarcie, oczekiwanie na stalowego mamuta, który przychodził mnie wdeptać w ziemię, opowiadać złe, koszmarnie sny? Czasami ludzie takie sny opowiadają i opowiadając prawdziwie zapamiętane, relacjonując płaską jak pluskwa projekcję koszmaru. Nie akceptowaliśmy poży opowiadacza snów. To trwa do tej pory z małymi, pisarskimi wyjątkami, ale to już taka profesja. Zresztą i pisarze, jeśli o tym piszą, to bardzo rzadko o tym mówią. Z namalowaniem te-

go jeszcze gorzej. W rówieśnym mi pokoleniu malarzy widziałem dwa obrazy, które nie gędzily o rzeczy, tylko ją wypowiadały: „Rozstrzelanie” Wróblewskiego i „Żydzi” Oberländera. Ten drugi obraz był wystawiony na pamiętnej ekspozycji w Arsenale, zwiastującej, ku konfuzji wielu, koniec sławnego okresu przesławnego socrealizmu. Ale wybiegam mocno w lata przyszłe.

Tak więc mieliśmy rozmaite pomysły pozamalarskie. Na przykład ja i Marek Oberländer, z którym się wtedy serdecznie przyjaźniłem i dzieliłem kwatery, umyśliłiśmy wycierać pedzle w szorty, które, rychło zmieniły się w absolutnie nieprzemakalne, barwne skorupy. To było w roku pierwszego Kazimierza, kiedy byliśmy jeszcze cholernymi malarzami, później nam to przeszło. Mieliśmy też takie pomysły, żeby pić wódkę, jeśli były na to pieniądze, w małej knajpce w kamienicy „Pod Krzysztofem”, a może to było w bezpośrednim jej sąsiedztwie?... nie pomnę. Wódka jak wódka, ale smak rolnopsów, które serwował patron tego zakładu, pamiętam do dziś i pamiętam belkę, która tam była, i hebrajską inskrypcję wyciętą na niej. Akademia stołowała nas u Berensa (bagatelaj), takich knajp już nie ma i nie będzie. Losoś z rusztu bywał wówczas daniem powszednim w tej restauracji, zachowującej najlepsze tradycje polskiej kuchni, tej bez wydziwian frankofilijskich, ale za-cnej.

Zapomniałem powiedzieć, że lososie pochodziły z Wisły. W czasie następnego Kazimierza jadaliśmy w refektarzu klasztoru O. O. Reformatorów Mniejszych, gdzie w celach zamieszkiwały nasze dziewczęta. W tym refektarzu na brzegu stołu Nacht-Samborski z panią Elibisch grali dniami całymi w „sześćdziesiąt sześć”. Zapamiętałem to, ponieważ przyszło mi do głowy, że to można by namalować. Ale był to jeden z „owych” pomysłów, tak to potraktowałem wtedy, a szkoda.

Jeśli w Wiśle były lososie, to dociekliwy czytelnik dopowie sobie, że można się było w niej kąpać, co będzie mniemaniem prawdziwym. Zapamiętałem surrealistyczną scenę z tym związaną. Idę łozinami nad samym brzegiem i widzę wylaniającą się z zakola puchówkę. Na ławeczce siedzi w brunatnym habicie i przeciwstawnym okularach Ojciec Przeor, a przy włosie widzę korpulentnego Ojca Furtiana, który goły jest i odziany jedynie w długie, zwane dziś „bermudami”, trykotowe majtki, poprzecznie prążkowane białoniebiesko.

Puchówką przywoził nam na umówioną łachę wiślaną znajomy rybak sandacze. Przywoził tyle ryb, ile zamawialiśmy, bo sandacze też jeszcze były w Wiśle. Ryby piekliśmy na węglach ogniska. Bardzo dobrze smakowały w te noce, kiedy wiatr przynosił na przemian fale ciepła i chłodu, zapach wody, rośnych traw, wikliny...

Pamiętam też śpiewanki, które układał Adaś Perzyk, grafik, a później także aktor. „Kiedys go poznała? Dwudziestego czwartego”. Refren: „Be-

rens... Berens...” Albo: „Błdy świt, pogasły już neony. Błdy świt, podarły się nylony. Błdy świt, o! bardzo błdy. Błdy świt, o! bardzo błdy świt”. Janek Dziędziora ułożył z okazji powodzi pieśń jedyną w swoim rodzaju, ponieważ jej tytuł był jednocześnie jedynymi słowami tej pieśni: „Niech żyją zakryte koleczki”. Tak więc nie tylko malarzkie, lecz i rzecz można piosenkarskie pomysły miewaliśmy.

Nie dawano się wyjechać z Kazimierza. Dopiero słoty września a i października, przymrażającego nad ranem, wyganiały nas stamtąd skuteczniej, niż powinności studenckie. Szukaliśmy lada pretekstu, by przedłużyć Kazimierz w nadziei, że może jeszcze się coś szczęśliwego zdarzy, że może uda się natrafić na nieprzewidywane brzemienia kolorów, na akord barw błakający się na okręgu wyobrażeń. Nie zawsze złudne były te czyhania w ciszy po zgiełku lata.

Pamiętam także chyba ostatni mój Kazimierz, nadszarpnięty przez pobyt w Budapeszcie na młodzieżowym festiwalu. Wróciłem od Madziarów i siedzę na balkonie nocą u Marka na kwaterze. Pijemy dobre wino „Szary mnich”, które rodzi się nad Balatonem. Pogwarzamy i pijemy całkiem srebrne wino. Albo milczymy w obawie, że się popsuje coś dobrego, co przyszło z nocy i z tego wina i jest.

W kilka, a może i kilkanaście lat później otrzymałem widokówkę z więcej przepięknego Księstwa Monaco. Na odwrocie widoczku nad wyraz barwnego był lakoniczny tekst: „Pocałuj mnie w dupę. Marek”. Prawdopodobnie chodziło mu o to, dupę jakoś zaznaczyć fakt, że oto nareszcie jest wolny. Marek przesiedział się w łagrze i przeżył, bo pełnił obowiązki fryzjera. Prawdą jest, że ja pierwszy odkrył, iż on widzi więcej, niż zwykli ludzie. Przez naszą kwatery na Marszałkowskiej przewinęły się tłumy ludzi powracających ze wschodu. Byli to przeważnie Żydzi. Ci ludzie dziś zostaliby zakwalifikowani jako chorzy psychicznie lub nerwowo. Przybierało to koszmarnie formy. Jedną z naszych współlokatorek chowała pod łóżkiem stopy bochenków czerstwiejącego chleba. Marek nigdy nie mówił o swych przeżyciach z czasów wojny, nie mówił o swej rodzinie, ani gdzie się urodził, nie wspominał dzieciństwa. Zatrzasnął wszystko przed obcymi na siedem spustów. Aż wreszcie oto się wyswobodził i był w pięknym nadzwyczaj Księstwie Monaco. Chyba musiał zamantestować swe zwycięstwo i swą pogardę, wybrał mnie za przedmiot, bo kogóż innego mogłoby to obejmć. Skaleczenie nie było zbyt bolesne, tyle, że się trochę goiło. Ale i on już nie żyje. Znów coś, co było ważne w moich Kazimierzach, osunęło się w wody rzeki milczenia.

MOJA miłość * Kazimierzem nad Wisłą jest bardzo młoda i taka zawsze pozostanie. Bo przecież on mnie przeżyje i by przeżył jeszcze dziesiątki malarzy coraz to nowych pokoleń. Ba, że zachęcałem się w Kazimierzu, to nie adwytwarzajnego, ale że on we mnie? skąd wiem o tym? Otóż wiem — tego, jak się objawia w moich obrazach o nim. I dlatego właśnie napisałem: „Moja miłość z Kazimierzem”, a nie „do Kazimierza”. A że na pewno nie jest to miłość jednostronna, zaraz udowodnię.

Zaczęło się to wszystko w roku 1951, wtedy jeszcze jako student Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie przyjechałem w lecie do Kazimierza na dwa tygodnie, z moją przyszłą żoną (pierwszą). Oł, dłuższa wycieczka, bez żadnego specjalnego celu, ażeby być we twoje gdzie indziej, niż w Warszawie. W Kazimierzu wiedziałem wtedy niewiele, tyle, że tam jeszcze przed wojną przyjeżdżali malarze. Byłem też pod wrażeniem wstrząsającej noweli Świętochowskiego „Chawa Rubin”.

Niestety, w Kazimierzu „Chawy Rubin” nie zobaczyłem już ani jednego yda z pejsami, jedynie stare, drewniane domy po nich. Lecz od razu to miasteczko z prawdziwym rynkiem o zocich łbach i ze studnią, z jedną niesamowitą kamienicą naprawdę piękną, z białymi kościółkami na wznieśnięciach i wzgórzach oczarowało mnie tak, jakbym znalazł się w jakimś nieznany mi teatrze. Na domiar było orąco, powietrze stało sennie od rana o wieczora i wszystko jakby zatrzymało się w czasie. Ten sam nastrój, co na Riwierze francuskiej i włoskiej, bo zamglona Wisła stwarzała złudzenie oludniowego morza. I tak samo nikomu nigdzie się nie spieszyło, wszystko wło sennie, gorące, urocze w tym spienzeniu zieleni i pięknej architektury niesansowej, razem ze wspaniałymi sierzami, drewnianymi domami, chami i zamiebanymi kamienicami — iże cennymi w swoich wdzięcznych, zeszło trzystuletnich kształtach! I óraz kobieta mogłaby im dorównać? I tak zaczęła się moja miłość z Kazimierzem. Postanowiłem wrócić na drugi rok, malować.

Przyjechałem sam. Pracowałem w plenerze przez miesiąc, jak urzeczony. Ale już wtedy spostrzegłem, że przyjechałem za późno. Najbardziej intensywną zielenią, najbardziej niebieskim niebem, i najbardziej złote, żywe słońcem w Kazimierzu daje tylko wiosna. Po tem, w czerwcu, już wszystko staje się jednaki, syte, nieżywe, zakurzone, aż

Nikogo obok mnie! To była nowość. Nad Sekwaną w Paryżu już od kilkadziesiąt lat można było kupować obrazy, a na drucianym płocie Hyde Parku w Londynie przy Bayswater malarze też już od paru dobrych lat wywieszali w niedziele przed południem swoje obrazy na sprzedaż, ale ja w Kazimierzu byłem sam, bez konkuru-

Moja miłość

Stanisław Jan Lazorek



Stanisław Lazorek: „Kazimierz”

Fot. A. Polakowski

do jesieni. Wiosna i jesień to w Kazimierzu pora dla malarza.

Przyjeżdżałem już co roku, na miesiąc lub dwa, i jako pierwszy i jedyny wystawiałem na rynku swoje obrazy.

rencji! Ile przy tym rozmów z różnymi ludźmi prowadziłem: o malarstwie, o sztuce, o życiu, a że czułem, iż to moje nowe malarstwo figuralne, tematyczne, jest bardzo nieporadne, dzięki tym pogawędkom też się przy okazji uczyłem.

Oto zakochany w Kazimierzu profesor Edmund John, który przyjeżdża tu co lato od przeszło pół wieku, z wciąż nowymi palindromami, a każdą sytuację potrafi skomentować humorystycznymi słowami postaci z Dickensa. Wykładowca architektury, znał cały warszawski świat artystyczny przed wojną, pamiętał m. in., że dzisiejszy Feliks Topolski to był wtedy Feiūs Tyłpel? „Pamiętniki Wspomnienia!” — tak witał w Kazimierzu profesora Johna co roku, lecz on mi na to odpowiada, niestety, tylko nowym palindromem. (Mówię, że wycofuje się rakiem, bo „raki” to staropolska nazwa tych igraszek słownych).

Przez te moje lata na rynku w Kazimierzu sprzedawałem mnóstwo akwarelek, „widoczków z Kazimierza”. Sztuka jak woda. Robiłem je zimą w Warszawie, właśnie w tym celu, bo z olejami było kiepsko. Wciąż jeszcze tkwiłem w abstrakcji i ta moja miłość z Kazimierzem była przez to skazana, niewierna. Było mi ciężko. Czułem, że zabrnąłem w ślepią uliczkę i to, co robię, jest właściwie nieuczciwe. Z abstrakcją więzy słabły a z malarstwem figuralnym szło opornie. Kazimierz nie chciał się poddać. Rozstrzygnięcie, jak to nieraz w życiu bywa, przyniósł przypadek. W 1970 roku trafiłem na długi czas do Londynu, gdzie nastąpił przełom. Poznałem tam Jerzego Z. Kędzińskiego, historyka i literata, urodzonego zresztą w Lublinie, u którego mieszkałem i który mnie żywił znakomicie. Sztuka dla Kędzińskiego, a znał ją doskonale, była naturalną częścią historii i dlatego w jego „Dziejach Anglii” (Ossolineum) znalazła się m. in. obszerna synteza gotyku. Dodawszy do rozmów z tym niezwykłym człowiekiem to, co zobaczyłem i przeżyłem w wielkich zbiorach obrazów i rzeźby w Londynie oraz w Paryżu (dokąd specjalnie pojechałem), pewnego dnia odczułem absolutną pewność, że do abstrakcji już nie wrócę. Przełom został dokonany. Kazimierz był mój.

Kupno starej chałupy na skraju miasteczka i jej przeróbka na obszerną pracownię umożliwiły pobyt w Kazimierzu (po czasie — z drugą żoną) od wiosny do jesieni. Niestety, w Warsza-



Jan Witkiewicz-Koszczyk

Fot. J. Szandomirski

BYL honorowym obywatelem Kazimierza Dolnego i w mieście tym — jedynym w Polsce — jest ulica nazwana jego imieniem. Mieszkał tu i pracował tylko niepełna sześć lat, od 1919 do 1925 roku, tedy nałęczowskim i warszawskim resem życia i twórczości. Kierował kółką Rzemiosł Budowlanych i jednocześnie uczył w niej oraz budował według swego projektu jej siedzibę. Niósł też łaźnię i dom felczera Kifera. Rozpoczął odbudowę zniszczonych jną rozpoczął odbudowę zniszczonych jną rozpoczął odbudowę zniszczonych jną

zna powiedzieć, że Koszczyk kontynuował w Warszawie żywoł Hystarda Nienaskiego Nawracania Judasza”, dla której to posłużył Zeromskiemu za parawóz, ja przenosiła się do Kazimierza nad Wisłę, jęcejce bardziej prowincjonalnego, niż jęciowa Posucha. W scenarii uliczek, znie od pogody błotnistych lub pełnych za i brudu, obramionych ruinami wypęły kamienie i żydowskimi sizerami, i Witkiewicz mierry z uczniami zabytki, iętuje aproprizację dla swych wychonków, gromadzi pieniądze i materiały na dowę szkoły na pół prywatnej, na pół

Jan Witkiewicz-Koszczyk

Mieczysław Kurzątkowski

sejmikowej. W wolnym czasie projektuje — przy lampie natłowej, gdy dzień jest krótki.

Na rajzbret trafiają różnorodnie, nie tylko lokalne, tematy: sanatorium Uniwersytetu Jagiellońskiego dla dzieci gruźliczych w Zakopanem, pałac Zamoykich w Adampolu koło Włodawy, gimnazjum w Puławach, przetwórnia owoców w majątku Kleniewskich w Józefowie nad Wisłą, dom społeczny z salą teatralną w Puławach... Ale przez wszystkie lata pobytu w Kazimierzu Jan Witkiewicz pracował równocześnie nad tematem, który okazał się najważniejszym, nad projektem gmachów Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie, zamówionym w 1919 roku. Zatwierdzenie projektów do realizacji stało się powodem przeniesienia się Koszczyka do stolicy: dyrekcja WSH wymagała bowiem, by autor osobiście stałe czuwał nad budową rozpoczętą w 1925 roku.

Zaprojektowany w Kazimierzu Dolnym zespół Wyższej Szkoły Handlowej (dziś SGPiS u zbiegu al. Niepodległości i Rakowieckiej): pawilon zakładów doświadczalnych, biblioteka i gmach główny, oceniany jest jako jedno z najwybitniejszych dzieł polskiej architektury XX wieku. W sposób znakomity zespala ono nowoczesną szkieletową konstrukcję żelbetonową, wykorzystaną również jako środek artystycznego wyrazu, ze stylizowaną dekoracją wywodzącą się z poszukiwań „architektury narodowej”. Wartości „koszczykowych” gmachów WSH nie sprowadzają się tylko do formy, lecz tkwią również w rozwiązaniach funkcjonalnych wnętrza o bardzo specjalistycznym przeznaczeniu. Biorąc pod uwagę wszystkie elementy konstrukcyjne, użytkowy układ przestrzenny, formę łączenia ze szczegółami wykończenia, można powiedzieć, że Jan Witkiewicz stworzył tu dzieło odpowiadające europejskim kryteriom wybitnej architektury oraz spełniające ówczesne wymogi budownictwa uniwersyteckiego.

I to wszystko zaprojektowane zostało w nadwiślańskim parłykularzu, odległym od kolej o parę godzin jazdy koni, przez prowincjonalnego dyrektora szkoły rzemieślniczej! Warto jeszcze przypomnieć, że w okresie międzywojennym z zespołu WSH zbudowano tylko pawilon zakładów doświadczalnych, bibliotekę i dom profesorski. Gmach główny powstał dopiero w latach 1950—1955, ale zgodnie z projektem sygnowanym: „Kazimierz Dolny, sierpień 1924”.

Gdy Jan Witkiewicz w 1919 roku przeniósł swą szkołę z Nałęczowa do Kazimierza Dolnego, Ministerstwo Sztuki i Kultury powierzyło mu kierowanie odbudową zabytków miasta. Otrzymał też równocześnie uprawnienia władzy konserwatorskiej, których rzekł się po roku „z powodów zasadniczych”. Jakże to były powody, możemy się tylko domyślić. Może spór o kompetencje z konserwatorem wojewódzkim. Albo różnice poglądów na rozwiązywanie problemów kazimierskich. Bądź też brak warunków materialnych lub administracyjnych do wywiązania się z obowiązków. Koszczyk był bardzo zasadniczy i przyjmowane funkcje traktował serio.

Tak więc Jan Witkiewicz złożył uprawnienia konserwatorskie, ale zabytkami nie przestał się zajmować. Przyjął do odbudowy kamienic: pod św. Krzysztofem i Celejowskiej, zaprojektował odtworzenie zniszczonej latarni na kopule kaplicy „Królewskiej” przy farze. Wspólnie z uczniami swej szkoły sporządził wiele inwentaryzacji pomiarowych. Mimo oficjalnej rezygnacji z funkcji Koszczyk był faktycznie pierwszym konserwatorem zabytkowego Kazimierza nad Wisłą, poprzednikiem Karola Sicińskiego i Jerzego Zurawskiego.

Był też Jan Witkiewicz pierwszym architektem kazimierskim od czasów pomysłowości miasta w XVII wieku. Najstarszą jego pracą w Kazimierzu jest drewniana willa Potworowskich przy Krakowskim Przedmieściu. Potem sporządził trzy wersje projektu willi Sopców, z których żadna nie została zrealizowana z powodu wojny. Po jej

zakończeniu zbudował łaźnię, zwaną wówczas zakładem kąpielowo-dezynsekcijnym, pierwsze pawilony swej Szkoły Rzemiosł Budowlanych oraz dom felczera Kifera stojący naprzeciw „Berensa”.

Jan Witkiewicz był pierwszym architektem projektującym nowe obiekty dla Kazimierza, mającym pełną świadomość zabytkowej wartości miasta. Wznosił budowle, które stawiane są za przykład jak powinna wyglądać architektura respektująca zabytkowe wartości otoczenia, architektura „zintegrowana z historycznym środowiskiem kulturowym”, mówiąc dzisiejszym językiem profesjonalistów. Nikt nie kwestionuje „kazimierskości” tego, co zbudował Koszczyk. Tymczasem nie uświatlił on do tych cech, które dla miejscowej architektury są najbardziej charakterystyczne. Nie zapożyczył ani attyk, ani podcieni, ani motywów zdobniczych. Tylko w łaźni można dostrzec się reminiscencji bryty spichlerzy. Natomiast wprowadził formy dotychczas w Kazimierzu nad Wisłą nie występujące.

Willa Potworowskich jest modernistyczną transpozycją „stylu zakopiańskiego”. Wówczas, gdy powstawała, miejsce jej budowy mogło być uważane za neutralne pod względem wartości zabytkowych. Jedynym czynnikiem wiążącym architekta było otoczenie krajobrazowe i Jan Witkiewicz jak zawsze znakomicie wtopił weń willę. Natomiast pozostałe obiekty przeznaczone były dla centralnej części miasteczka, nasyconej zabytkami i zabudową drewnianą, która wówczas nie była uważana za zabytkową, lecz współtworzyła ten niezwykle nastrój przyciągający artystów.

Koszczyk wniósł do miasta formy modernistyczne z historycznymi reminiscencjami, stosowane przez niego w twórczości okresu „nałęczowskiego”, a których źródła zapewne należy szukać w studiach w królewskiej wyższej szkole technicznej w Monachium. To, co wtapia dzieła Witkiewicza w krajobraz Kazimierza, to skala, kolor i faktura. Czerwona dachówka koresponduje z pokryciem kościołów i klasztor-

wie w zimie pracować nie mogę tak, jakbym chciał. Powietrze ma inną tęgą, inną (konsystencję, odmienne światło, genius loci Warszawy jakże inny jest od kazimierzowskiego, a dobrej starej architektury jakże mało w stolicy. Poza tym, ileż takich dni w zimie, żeby można malować na dworze nie marznąć? Toteż gdzieś po Gwiazdce już narasta tęsknota do wiosny, do Kazimierza. I kiedy wyjeżdżam, to wtedy właśnie jestem w takim stanie, o jakim mówił Rilke, że „zawsze, rozpoczynając pracę, musi się osiągnąć na nowo tę pierwszą prawdziwą niewinność”. Wrażliwość świeżą, nie stęploną. Tak, tak, wiem, że tak powinno być zawsze, gdy się człowiek zabiera do pracy, ale wtedy, na wiosnę, to uczucie jest najsilniejsze. Mam siły i zapał, chęć i wolę, jakby odrodzone.

Mimo że Kazimierz i mnie pokochał, bo już nie stawia oporu, ze swoim rynkiem, kościołami, kamienicami, niebem, drzewami i łakami, wawozami, chałupami i Wisłą już poddaje się w obrazach, to jednak nie mam przeświadczenia, że maluję tak, jakbym chciał. I nie zawróciły mi w głowie te niezliczone już wystawy, zamówienia z różnych stron świata i to, że każdy kolejny zamawiający musi na obraz czekać rok, a wśród listów przychodziły również od skazanych, z więzienia, z prośbą o sprzedaż dlatego, ponieważ ktoś zapamiętał światło i jasność z moich obrazów. Wiem już dzisiaj, że aby stworzyć doskonałość, trzeba pracować ciągle, bo przecież w samym człowieku też zachodzą zmiany. We wrażliwości, w percepcji, w zrozumieniu warsztatu, w uczuciach, woli i charakterze. Nie wiem, czy dojdę do tego celu, a zresztą jaki on jest? Czy mogę sobie wyobrazić ten swój przyszły obraz, o którym mógłbym z głębokim zadowoleniem powiedzieć, że to jest dzieło doskonałe? To przecież niemożliwe. To się okaże tylko wtedy, gdy się już stanie. Do tej właśnie chwili się tęskni i na nią pracuje. Może kiedyś przyjdzie, a wtedy moja miłość z Kazimierzem będzie pełna. Tymczasem, jak mówił Rodin: „Il faut toujours travailler”. W Kazimierz.

ru.. Drobne podziały i detale nie odbiegają od modułów miejscowej zabudowy. W otynkowaniu elewacji można dopatrywać się respektowania lokalnej tradycji, gdyż dotychczas Koszczyca najchętniej operował odsłoniętym wątkiem muru. Traktował bowiem układ i fakturę budulca jako środek wyrazu.

Fasadę niezrealizowanego budynku warsztatów szkolnych Jan Witkiewicz zamierzał ubrać w formy zapożyczone z renesansu niderlandzkiego. Byłaby to najbardziej dekoracyjna elewacja jego autorstwa w Kazimierz Dolnym. I tu najciekawsze jest, że Koszczyca, szukając inspiracji, zwrócił się nie ku kamienicom i kościołom narzucającym swą obecność przebogatom zdobniczym. Na kanwie tródmowca potwierdzenia związków handlowych Kazimierza i Niderlandów chciał stworzyć tu coś, czego jeszcze nie było, ale miało historyczne uzasadnienie prawdopodobieństwa.

Kazimierski okres jest w biografii Jana Witkiewicza szczególnie ważny. Tu zaprojektował dzieło życia, które wprowadziło go na zaszczytną pozycję w historii sztuki polskiej. Tu też najpełniej wypowiedział się jako architekt-konserwator. Bowiem wcześniej i później miał do czynienia z remontami i odbudową pojedynczych zabytków. Nie znaczy to, że pozakazimierska działalność konserwatorska Koszczyca może być lekceważona. Należał do pionierów stosujących w Polsce nowe technologie do ratowania zabytków architektury, jak np. wzmacnianie struktury murów przy pomocy zaprawy włączanej pod ciśnieniem lub stabilizacja obiektu przez wprowadzenie w fundamenty płyty żelbetowej. W Kazimierzu jednak był on konserwatorem ratującym i tworzącym. A jako twórca zajął zupełnie odmienną postawę niż Karol Siciński, który w kilka lat po Witkiewiczu rozpoczął projektowanie dla Kazimierza. Nasuwa się pytanie, co by się stało, gdyby u Jana Witkiewicza nie zamówiono projektów gmachów Wyższej Szkoły Handlowej, lub gdyby nie przyjęto ich do realizacji? Jak odcisnęłyby się na wyglądzie Kazimierza osobowość twórcza Koszczyca, gdyby pozostał tu dłużej?

Mieczysław Kurzątkowski

Ps. Jan Koszczyca-Witkiewicz czy Jan Witkiewicz-Koszczyca? Powszechnie używana jest pierwsza wersja. Nawet wszystkie wydania encyklopedii powszechnej odsyłają pod literę K. Za życia był zawsze i niezmiennie: Jan Witkiewicz-Koszczyca. Bo Koszczyca to przydomek dla łatwiejszego odróżnienia od innych Witkiewiczów i powinien być stawiany na końcu, tak jak u Mikołaja Radziwiła Sierotka na przykład.

GDYBYM MIAŁ DWA MILIONY DOLARÓW...

Zygmunt Stępiński

BYLEM wówczas uczniem szóstej klasy państwowego gimnazjum im. Adama Mickiewicza, jak na warszawiaka przystało, oczywiście w Warszawie. Był to rok 1924. (Boże, jakże już ogromnie dawno!). Nasz niezapomnianej pamięci nauczyciel rysunków, profesor E. Niesiołowski, znając moje zamiłowania do rysunku odręcznego oraz marzenia młodego chłopaka o studiach architektonicznych, któregoś dnia spytał mnie nieoczekiwanie, czy miałbym ochotę na wycieczkę szkolną do Kazimierza nad Wisłą. Dodał następnie: — Będziesz miał możliwość rysować a rysować, co na pewno przyda ci się do egzaminu konkursowego na Politechnikę.

Kazimierz znałem zaledwie z opowiadań moich rodziców, z licznych obrazów i fotografii. Miasteczko to zawsze bardzo mnie pociągało, dlatego też na propozycję mego profesora zgodziłem się bez zastanowienia. Ustaliliśmy, że jeśli będzie pogoda, pojedziemy już najbliższej niedzieli. Namówiliśmy jeszcze do udziału w majówce dwóch zaprzyjaźnionych ze mną kolegów, którzy choć nie umieli i nie bardzo lubili rysować, to jednak pojechali z nami, dla towarzystwa. Profesor Niesiołowski powiedział, abym zabrał ze sobą gruby blok do rysowania i dużo miękkich ołówków — na zapas, jak twierdził.

We czwórkę dotarliśmy do Puław w dzień majowy, wyjątkowo piękny, słoneczny, wprost wymarzony, taki, w którym wszystko kwitnie naraz. Na stacji w Puławach przesiadaliśmy się do jakiegoś straszliwie obszarpanego autobusu, którego koloru właściwie ustalić nie mogłem. Nie posiadał on również żadnej marki fabrycznej, ale jeździł. Należał do jakiegoś obywatela, którego syn pełnił funkcję konduktora i inkasował po złotówce za przejazd od wielu pasażerów, szczerze wypełniających pojazd.

Nie istniał wówczas PKS, a drogi w Polsce nie były jeszcze asfaltowe, lecz bite, szutrowane, na Lubelszczyźnie i Kielecczynie ułożone na podłożu wapiennym.

Pamiętam dotychczas, jak autobus, trzęsąc się konwulsyjnie na wyboistej i zniszczonej szosie, unosił za sobą istne tumany białego, wapiennego pyłu. Wyglądało to nawet bardzo malowniczo. Wyjechaliśmy z Puław tą samą drogą, którą jeździł się i obecnie, drogą, którą później w ciągu swego życia tak wiele razy zmierzałem do Kazimierza.

Kilka kilometrów za Puławami zaczynała się malownicza aleja topolowa, która przebiegała szosa. Niebawymalych rozmiarów średnice drzew i ich niezwykła wysokość świadczyły o długim żywocie. (Jakże niewiele z nich przetrwało do naszych czasów! Szereg zmarło śmiercią naturalną, ze starości, wiele legło tragicznie). Po lewej stronie szosy znajdowało się ładne zboże, wystawione na południe i pokryte sadami kwitnących jabłoni. W Bochoćnicy minęliśmy most na rzece, której nazwy już nie pamiętam [Bystra — red.]; płynie ona od Należcowa przez Wąwolnicę i tuż za Bochoćnicą wpływa do Wisły. Po minięciu wioski krajobraz stawał się coraz bardziej malowniczy: po prawej stronie połyskiwała Wisła, po lewej zaś pokazywały się liczne wawozy w skarpie — było to znakiem, że Kazimierz już jest niedaleko.

Nie od razu jednak dojechaliśmy do celu naszej wycieczki. Autobus zaczął

odmawiać posłuszeństwa, spod maski motoru buchała para. Okazało się, że chłodnica jest dziurawa i trzeba dolać wody. Konduktor oświadczył zaniepokojonym pasażerom, że to tak zawsze za Bochoćnicą, ale na pewno do Kazimierza dojedziemy. Sprawdziło się. Po wzięciu kilku ostrych zakrętów przed naszymi oczami pokazała się sylwetka baszty na górze zamkowej, a po drugiej stronie Wisły, w dali, ruiny zamku w Janowcu.

Jeszcze dwa zakręty i rozklekotany pojazd wjechał na sam środek kazimierzowskiego rynku i stanął przy drewnianej studni. O ile sobie przypominam, już wówczas wisiała na niej tabliczka (wtedy drewniana) z napisem obwieszczającym, że „woda niezdatna do picia”.

Wysiedliśmy z autobusu, a konduktor objaśnił nam, że powrót do Puław przewiduje wieczorem, ale o której godzinie, tego nie wie. Jak zbiorą się pasażerowie, to pojedzie.

Stałem na środku rynku i wzrokiem starałem się objąć wszystko wokół. Cztery jego pierzeje były różne. Domki murowane i drewniane, zbudowane przypadkowo obok siebie, tworzyły jednak doskonałą całość. Zastanawiałem się, czy to była rzeczywistość, czy też ustawione na scenie dekoracje teatralne, a wśród nich ja, stojący na środku jakby wielkiej sceny. To był jednak realny Kazimierz. Począłem przypatrywać się dokładnie każdej ścianie rynku.

Stronę południową formowała potężna bryła kościoła farnego. Wzniesiona na pagórku, wysoka świątynia dominowała nad całym rynkiem. Pobielane wapnem ściany jaskrawo odbijały od czerwieni stromych dachów i ostro rysowały sylwetkę na tle wyjątkowo błękitnego nieba.

Obraz ten na zawsze zanotował się w mych oczach. W latach studenckich, włócząc się po wielu miastach na południu Europy, porównywałem często widoki tamtych miast i miasteczek z Kazimierzem — miejsce nad Wisłą wytrzymywało konkurencję!

Chciałem natychmiast rysować farę, ale doświadczony opiekun, profesor Niesiołowski, odradził. „Narysuj najpierw coś łatwiejszego, może otaczający kościół murek z ostrołukową bramką, kutą w żelazie furtką i schodkami kamiennymi. Cały kościół to za trudny temat, jak na początek”. Przyznałem rację — narysowałem bramkę, potem gotycką bramę dzwonnicy, renesansowe okno kaplicy Górskich i tak się zaczęło. „Powróciliśmy na rynek — narysowałem drewnianą studnię — i utknęliśmy przed elewacjami kamieniczek „Pod św. Mikołajem” i „Pod św. Krzysztofem”. Tematów do rysowania dla przyszłego architekta było mnóstwo. Rysowałem, jak pamiętam, same detale architektoniczne, gdyż tylko na to pozwalał mi mój opiekun. Radził, by resztę zostawić na przyszłe przyjazdy do Kazimierza. „Będziesz tu bywać często”.

Poszliśmy mostem nad Grodzarzem na ul. Senatorską. Profesor Niesiołowski chciał, abym obejrzał razem z nim kamienicę Celejowską, będącą niedługo własnością rodu Celejów. Piękno tej kamienicy urzekło mnie doszczętnie, nie ośmieliłem się wówczas narysować jej elewacji, ani żadnego z wielu detali. Stałem i patrzyłem. Od mego przewodnika dowiedziałem się, że na-



Fragment Kamienicy Celejowskiej
Rys. Z. Stępiński

zwisko autora nie jest znane. Musiał nim jednak być architekt — czy murator — wysokiej klasy. Kamienica ma świetne proporcje architektoniczne, a jej zwieńczenie w postaci wspaniałej attyki stawia ją w szeregu najciekawszych budynków doby renesansu w Polsce. Attyka jest bardzo bogata, mimo to zachowuje jednak dostojność i szlachetny umiar. Wacław Husarski w swej książce: „Kamienice renesansowe w Kazimierzu Dolnym” (Warszawa 1936) tak pisał: „Ta attyka jest rozbudowana i ozdobiona do tego stopnia, że dolna mieszkalna część fasady wydaje się tylko cokołem dźwigającym to cudo. Grzebień attyki przewyższa już wszystko, co w tym rodzaju było kiedykolwiek wymyślone [...]”.

Czas, niestety, miał z zadziwiającą szybkością. Obejrzelismy jeszcze kamienicę Górskich nad Grodzarzem, wróciliśmy na rynek, a potem poszliśmy ul. Lubelską. Uparłem się i naszkicowałem przedziwny renesansowy szczyt dachu dawnego szpitala przy kościele św. Anny, który wyrasta zupełnie nieoczekiwanie, jakby z chodnika ulicy.

Na śpichlerze, kościoły, bożnice i inne domy i domki, z których każdy mógłby stanowić oddzielny temat dla rysownika, czasu już nie starczyło. Zresztą mój szkicownik — pamiętnik z pierwszego zetknięcia się z tym przedziwnym miasteczkiem — był już całkowicie zabazgrany różnymi szkicami. Piszę „zabazgrany”, bo nie można było nazwać rysunkami tych nerwowych notatek młodego chłopca, który od razu uległ urodzie Kazimierza.

Gdy wróciliśmy na rynek, słońce miało się już ku zachodowi. Inaczej, chyba jeszcze ciekawiej niż w południe, rysowały się cienie mocno wyladowanych gzymsów na elewacjach domów.

Przy studni oczekiwał ten sam autobus, który przywiózł nas z Puław. Wsiadając, zauważyłem stojące obok siedzenia kierowcy dwa naczynia pełne wody — będziemy ją zapewne za Bochoćnicą dolewali do chłodnicy, pomyslałem.

Autobus ruszył, zęgnąłem się z Kazimierzem, ale wiedziałem, że zostałem przyjacielem i miłośnikiem. Przyrzekłem sobie, że często będę gościem w jego starych, jakże nabrzmiałych polską architekturą murach.

Wkrótce zaczęły się moje studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej, a wraz z nimi częste przyjazdy do Kazimierza, tym razem pod kierunkiem słynnego znawcy polskiej architektury, prof. architekta Oskara Sosnowskiego. Były również wyprawy indywidualne. Za pierwszy tzw. „grubszy pieniądz”, zarobiony na Powszechnej Wystawie Krajowej w Poznaniu przy projektowaniu stoisk handlowych, nabyłem motocykl. Ułatwiło mi to częste przyjazdy do ulubionego miasteczka.

Poznawalem Kazimierz bardziej dokładnie, nie tylko od strony jego starej, niezmiernie interesującej architektury, będącej świadkiem wielkiej kultury w dobie renesansu, lecz także od tej gorszej, świadczącej o olbrzymim zaniedbaniu i wielkich brakach gospo-

Dokończenie na str. 12

GDYBYM MIAŁ DWA MILIONY DOLARÓW...

Dokończenie, ze str. 1

darczych, które powodowały, że Kazimierz należał do rzędu najbiedniejszych miasteczek Polski.

Wybuch wojny przeswał, niestety, moje kontakty z Kazimierzem. Nie było to czasy nadające się do turystyki.

Z myślą jednak o Kazimierzu brałem udział w tajnym konkursie architektonicznym, ogłoszonym w Warszawie na projekt domu kultury w małym miasteczku. Był to konkurs czysto teoretyczny, ale myślę, że projekt, który wykonałem, bardzo przydałby się Kazimierzowi.

Po zakończeniu działań wojennych moje uczucia do Kazimierza odżyły. Stowarzyszenie Architektów RP wybudowało przy rynku swój dom pracy twórczej, nie było więc już problemów z mieszkaniem. Jednak wszystkie moje jedno- lub dwudniowe wypadki do miasteczka traktowałem jako relaks po pracy zawodowej, której przy odbudowie Warszawy miałem bardzo wiele. Nadszedł jednak nieoczekiwany dzień, w którym rodzaj tych wyjazdów uległ zmianie.

Zarząd Główny RSW „Prasa” w Warszawie zwrócił się do mnie z pytaniem, czy miałbym ochotę i czas na wykonanie projektu domu wypoczynkowego w Kazimierzu nad Wisłą. Jednocześnie dano mi do zrozumienia, że chodzi o szybką decyzję i szybkie wykonanie projektu. Do krótkich terminów w pracy przyzwyczałem się już w Warszawie; miałem za sobą budowę Trasy W-Z i Mariensztatu oraz szeregu innych obiektów. Zaproszenie przyjąłem, dziś przyznać muszę, że z uczuciami mieszanymi. Cieszyłem się, ponieważ myśl o pozostawieniu po sobie trwałej pamiątki w postaci zrealizowanego budynku w Kazimierzu zawsze mnie bardzo nęciła. Jednocześnie jednak istniała jakaś obawa przed budową w miasteczku domu wypoczynkowego o stosunkowo dużej kubaturze (około 15 000 m sześć) i bogatym programie użytkowym wraz z basenem pływakim.

Zadawałem sobie pytanie: czy potrafię tak zaprojektować, aby nie narazić na szkodę unikalnego charakteru miasteczka? Podobne wątpliwości przeżywałem przy wykonywaniu projektu osiedla Mariensztat u stóp kościoła św. Anny w Warszawie, obawiając się zniszczenia panoramy miasta. W tym wypadku podjęcie decyzji urbanistycznej i architektonicznej wydawało mi się jednak nieco łatwiejsze, niż teraz.

Obawy moje znacznie zmalały, gdy inwestor przedstawił mi miejsce, na którym miałem zaprojektować „Dom Prasy”. Było ono właściwie poza obrębem samego Kazimierza: na grzbiecie wzgórz przeciwległych górze zamkowej, bardziej w kierunku zachodnim, a więc dalej od Wisły. Jednak dojechać czy też dojść pieszo można było jedynie przepięknym krajobrazowo wąwozem Małachowskiego. Parcela rozprzeźrzała się wyjątkowo nieregularnie, w kształcie odwróconej litery „L”, sąsiadując z terenem, na którym stał dom znanej pisarki, Marii Kuncewiczowej.

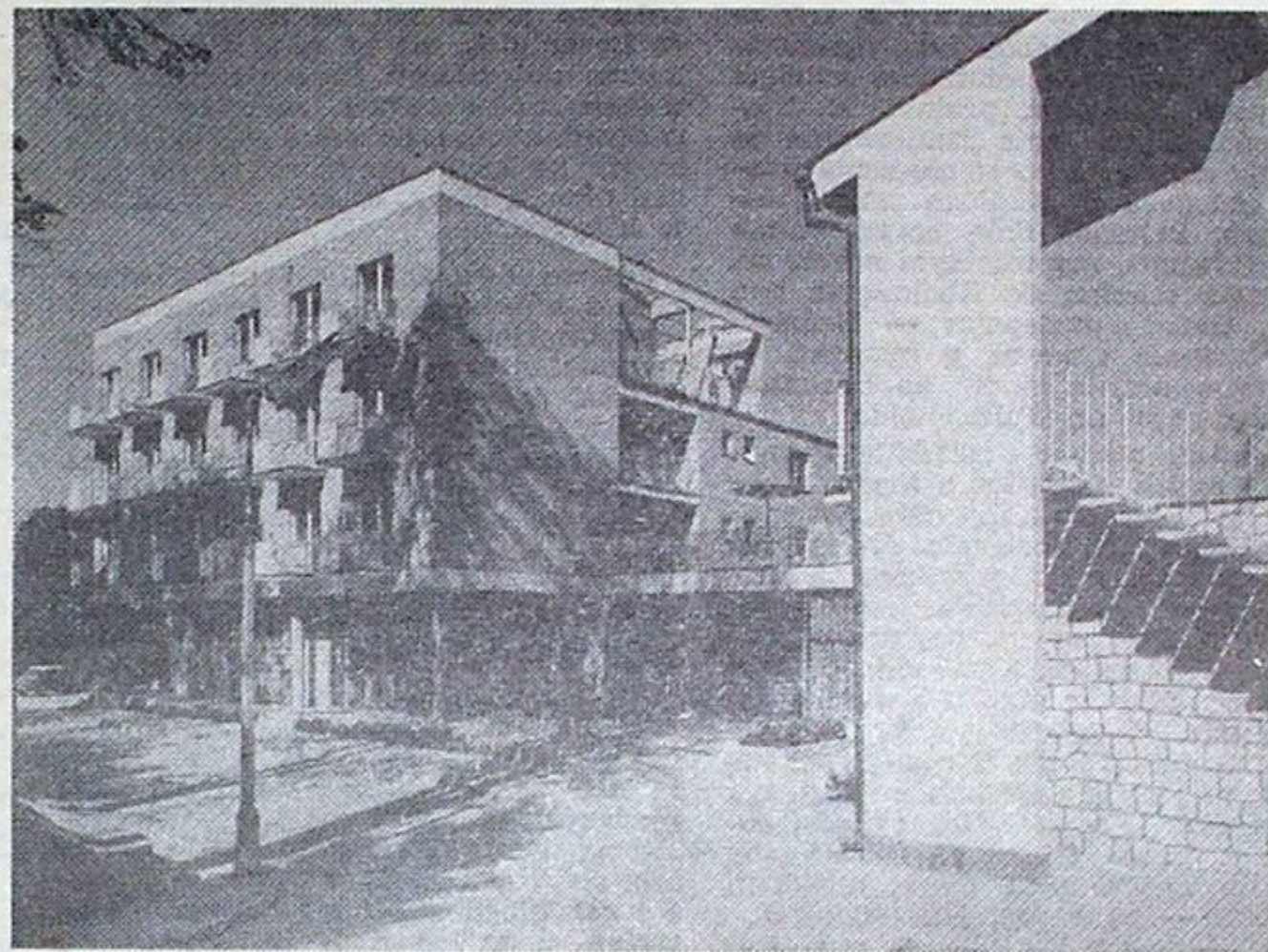
Poprosiłem o wspólną wyprawę do Kazimierza celem obejrzenia terenu przyszłej budowy.

Dno wąwozu Małachowskiego okazało się bardzo piaszczyste i stronne; samochody nie mogły pokonać spadku ostatniego odcinka. Zdałem sobie wówczas sprawę, że przede wszystkim trzeba będzie ułożyć drogę, aby móc transportować materiały budowlane. Do celu dotarliśmy pieszo, bardzo stromym zboczem. Widok był piękny, w dali rysowała się sylwetka baszty zamkowej i Góry Trzech Krzyży, lecz leżącego u jej podnóża miasteczka nie spostrzegaliśmy. Pokazywało się zaledwie kilka dachów i sylwetka sygnaturki kościoła „arnego. Zrozumiałem, że mój przyszły budynek nie zakłóci ład u kazimierskiej

przestrzeni, z miasteczka po prostu nie będzie widoczny.

Niefortunny kształt parceli oraz dość obszerny program „Domu Prasy” zmusił mnie jednak do spiętrzenia budynku w pewnym fragmencie do trzech kondygnacji. Wolalbym tego uniknąć. Sprawa częściowej przebudowy wąwozu Małachowskiego wydawała się koniecznością, ostatni odcinek drogi (około 80 m) wymagał zmiany profilu zbocza oraz, jak później szczegółowy projekt wykazał, usunięcia trzech drzew. Niestety, były to zabiegi, których przy budowie uniknąć nie było można.

Wkrótce okazało się, że dla otrzymania wody pitnej należy wykonać bardzo głębokie wiercenie. Do tych trudności przybyła sprawa doprowadzenia



„Dom Prasy” w Kazimierzu arch. Zygmunta Stępińskiego

napowietrznej linii elektrycznej, którą dla uniknięcia oszpeccenia krajobrazu słupami trakcyjnymi poprowadziliśmy znacznie dłuższą, okrężną drogą przez wieś Czerniawy. Trzeba było również zbudować własną trafostację.

Problemy zebrano się więc dość dużo.

Najważniejszym jednak, nurtującym mnie zagadnieniem była architektura przyszłego budynku. Zastanawiałem się, czy pójść drogą, którą obrał architekt Karol Siciński, budując dom wypoczynkowy SARP, czy też obrać drogę odmienną, w kierunku architektury współczesnej, kontrastującej z budynkami w miasteczku. Dom mojego stowarzyszenia zyskał sobie opinię udanej realizacji — stanowi on jednak poważną część pierzei rynku, został przez autora doskonale wpassowany w otoczenie. Natomiast wzniesienie tego typu budynku na szczycie wzgórza nad wąwozem Małachowskiego byłoby, zdaniem moim, błędne. Rozgrzeszenia udzieliłem sobie sam i dlatego „Dom Prasy” jest zupełnie odmienny od architektury Kazimierza. Łączy go z nim jedna przecież cecha: jest także zbudowany z białego wapienia, pochodzącego z kamieniołomów miasteczka.

Po wykonaniu szkiców budynku i akceptacji ich przez Zarząd Główny RSW „Prasa” przedstawiłem rysunki architektowi Sicińskiemu, dla którego zawsze żywiłem wiele szacunku za jego działalność kulturalną w Kazimierzu. Przyznał mi rację i życzył powodzenia w realizacji. Uspokojony, zabrałem się do budowy. Wypada jednak przyznać, że znalazły się osoby, zwłaszcza wśród architektów, które, nie znając nawet projektu, zarzucały mi „nizszczenie krajobrazu Kazimierza!

Budowa trwała dość długo, dwa i pół roku. Nadzór autorski sprawowałem osobiście. Do Kazimierza przyjeżdża-

łem samochodem w różnych porach roku, przeciętnie co dwa tygodnie. Było to dla mnie poważnym obciążeniem, lecz nie narzekałem, bo uroda Kazimierza zawsze sprawiała na mnie wrażenie. Po wizytacji budowy zawsze znajdowałem trochę czasu, aby odwiedzić ulubione fragmenty miasteczka. Pewnego dnia przyszło mi na myśl, by sprawdzić, czy „Dom Prasy” widać z Kazimierza. Pojechałem na górę zamkową — okazało się, że to jedyne miejsce, z którego obiekt jest widoczny. Dziś nikt już jednak nie twierdzi, że dom szkodzi krajobrazowi miasteczka.

Minęło wiele lat od ukończenia budowy. Kamienne ściany domu nie są już takie białe — pokrywają się pa-

MINĘŁO przeszło pół wieku od czasu, kiedy Kazimierz nad Wisłą zajął poczesne miejsce wśród ulubionych przeze mnie zakątków architektury naszego kraju.

Nierozzerwalnie z tym miasteczkiem wiążą się w moim odczuwaniu postacie współczesnych mi, lecz nieżyjących już architektów: Karola Sicińskiego i Lecha Niemojewskiego oraz jego przyjaciela, malarza Tadeusza Pruszkowskiego.

Twórcza działalność tych dwu architektów w Kazimierzu, rozpoczęta w okresie międzywojennym, była szeroko kontynuowana przez Sicińskiego w okresie powojennej odbudowy miasta i rekonstrukcji zabytków architektury.

W budowlach powstałych przed II wojną światową twórczość Karola Sicińskiego znalazła swój wyraz w takich obiektach, jak np. siedziba pisarki Marii Kuncewiczowej i jej męża, dom typu wiejskiej rezydencji rodziny Berensów oraz domy drewniane północnej pierzei Rynku, spalone w czasie działań wojennych i zrekonstruowane przez ich autora w początkach jego działalności na stanowisku konserwatora i architekta miejskiego. Dziełem Sicińskiego jest przywrócenie swoistego oblicza wielu zabytkom Kazimierza, m. in. kamienicom pod wezwaniem św. Mikołaja i św. Krzysztofa przy Rynku oraz kamienicy Celejowskiej; wyniki tej pracy uzyskały pow-szechnie uznanie, wypowiadające się m. in. w przyznaniu ich twórcy Państwowej Nagrody Artystycznej.

Droga działalności architekta miejskiego nie była jednak usłana różami, nie aprobowali jej wszyscy autochtoni miasta. Potwierdza to obraz pędzla Sicińskiego, wchodzący w skład cyklu malowideł przedstawiających dzieje jego życia w Kazimierzu. Treścią owego płótna jest obrzucenie kamieniami oddalającej się postaci autora przez osobnika ukrytego za węglem domu. Obraz ten symbolizuje trudności piętrzące się

Dokończenie ze str. 1

gospodarczych miasta. Budżet magistracki wynosi zaledwie 50 tys. złotych. Brakuje kanalizacji i wodociągów, choć są nieodzowne. Nie odbudowano jeszcze domów przy rynku, spalonych podczas II wojny światowej. Owszem, w Kazimierzu widać pewne zmiany na lepsze. „Nowy budynek poczty (projektował Gutt) wypadł znakomicie i służyć może za przykład szczęśliwego dostosowania nowoczesnej architektury do zabytkowego otoczenia”. Ale uporządkowanie rynku odwleka się, albowiem brakuje m. in. pieniędzy na rozpisanie odpowiedniego konkursu wśród architektów. Podobno „Towarzystwo Przyjaciół Kazimierza ma zwrócić się do szeregu czołowych architektów o przedstawienie idei zabudowy rynku, tj. o narysowanie, jak rynek należy architektonicznie ukształtować”. Lauterbach podnosi przy tym kardynalną zasadę organizacji kazimierskiej przestrzeni, która do dzisiaj nie straciła aktualności: „Cechy artystyczne tego miasteczka muszą być zachowane, a jednocześnie kontynuowane. W tem tkwi jego kapitał”. Ale historyczno-estetyczne walory miejsca nie ściągają tutaj turystów — „w szczególności najbardziej pożądanym, tj. samochodowym” — jeśli nie wnieście się hotelu na „średnioeuropejską miarę”. Przyjezdni nie zlikwidują jednak zasadniczych kłopotów, miasto powinno znaleźć jakieś stałe źródło rozwoju gospodarczego. Artyści? „Niestety, z artystów Kazimierz nie wyżyje, oni są jedynie drożdżkami”. Na koniec Lauterbach przypomnia, że: „Uratowanie Kazimierza jest uratowaniem fragmentu kultury polskiej”.

Zamiast komentować te stwierdzenia, zacytujmy fragment wywiadu, jakiego udzielił w maju bieżącego roku „Sztandarowi Ludu” Jerzy Żurawski, historyk sztuki, który od 10 lat pełni funkcję konserwatora zabytków Kazimierza i okolicy:

„Stan miasta jest zły i obawiam się, że będzie się pogarszał. Moje dziesięcioletnie wysiłki wobec wiekowych zaniebań są po prostu kroplą w morzu. W okresie pierwszej i drugiej wojny światowej Kazimierz doznał poważnych zniszczeń. Część budynków przez długi okres stała bez dachów. Dziś są tego tragiczne efekty. Istnieją nadal obiekty, które od pierwszej wojny oczekują na konserwację. W ciągu minionych 10 lat na odbudowę i kon-

Koncert moich marzeń miałby mniej więcej taki program: ukończyłbym budowę kanalizacji i wodociągów; przeprowadziłbym pełną rekonstrukcję wszystkich śpichlerzy nad brzegiem Wisły i wszystkich zabytków architektury sakralnej i świeckiej; przebudowałbym wszystkie ulice — jezdnie i chodniki; wprowadziłbym nowe oświetlenie ulic i placów; rozebrałbym wszystkie szpetne szopy, budy i budki oraz tzw. „pomieszczenia gospodarcze” i walące się ogrodzenia; uzupełniłbym brakującą zabudowę rynku w sąsiedztwie domu SARP oraz zabudowę ul. Senatorskiej, zwłaszcza w sąsiedztwie kamienicy Celejowskiej i Górskich.

Program tego koncertu mógłbym jeszcze bardziej rozszerzyć, np. o życie, aby korytem rzeczki Grodarz płynęła naprawdę czysta woda. Ale obawiam się, że już by tych milionów nie starczyło.

Tymczasem jednak za pośrednictwem „Kamery” pozwalam sobie złożyć dla sędziwego Jubilata — Kazimierza dużo, bardzo dużo serdecznych życzeń zdrowia i dalszych 800 lat żywota dla utrwalenia polskiej kultury. Do własnych dołączam życzenia od mej żony, trojga dzieci i dwóch wnuczek.

Zygmunt Stępiński

Bohdan Lachert

przed Sicińskim przy realizacji zamierzeń twórczych.

W latach trzydziestych naszego wieku prof. dr arch. Lech Niemojewski był autorem „Kasztelu”, budowlę górującej obecnie nad miasteczkiem, położonej w pobliżu ruin zamku Kazimierzowskiego, a wzniesionej dla „Pana na Kazimierzu”, Tadeusza Pruszkowskiego, profesora Szkoły Sztuk Pięknych w Warszawie, który na stałe zamieszkał w tej uroczej miejscowości.

„Prusz” (Pruszkowski) był zawsze otoczony tłumem swych uczniów, adeptów zainicjowanych przez niego grup: „Bractwa św. Łukasza” i „Łoży Wolnomalarskiej”, a swoje wyprawy poza miejsce zamieszkania odbywał częstokroć łączącymi środkami lokomocji naziemnej i podniebnej — samochodem i awionetką.

Za przyłot awionetką na Olimpiadę do Berlina Hitler odznaczył Pruszkowskiego kordem lotnika, który jednak nie został przez niego wykorzystany jako glejt na przeżycie w okresie okupacji hitlerowskiej — profesor zginął, zastrzelony w Warszawie w roku 1942, w czasie przewożenia go na Pawiak.

Po śmierci Pruszkowskiego profesor Niemojewski zaopiekował się jego psem, brązowym spanielem o imieniu „Noe”, który w lecie roku 1943 uchronił swego nowego pana przed wywiezieniem do obozu koncentracyjnego. Stało się to w czasie przemarszu kolumny pojmanych mężczyzn przez most Poniatowskiego, w której znajdował się Niemojewski. Zatraskana o los męża, żona profesora z „Noem” na ręku towarzyszyła pochodowi. Kiedy pies ujrzał swego pana, wyrwał się z rąk

Jadwigi Niemojewskiej i ze skowitem skoczył na ręce profesora. Zachwycony urodą zwierzęcia, uzbrojony po zęby policjant niemiecki zawołał „wie schon”, i po chwili wydał komendę „weg” (precz) i „Noe” wraz z architektem znaleźli się na wolności.

Po Karolu Sicińskim pozostały pamiątki o wysokiej wartości, nie podlegającej dyskusji o cechach nigdy nie budzących sporów.

Po Lechu Niemojewskim pozostał w Kazimierzu ów „Kasztel Prusza”, posiadający chyba do dziś kwalifikację kontrowersyjną, a jednak gdyby go miało zabraknąć, powstałaby luka w tak bogatej historii miasteczka, zatarte byłyby ślady przebywania i działalności osób tak wysoce zasłużonych dla kultury polskiej.

Przez asocjacje wydaje się, że budzący tak żarliwą dyskusję dom przy ulicy nadwiślańskiej, uznawany za obiekt kontrowersyjny, staje się z czasem, po kilkunastu latach zajmowania miejsca w obrazie wlotu na Rynek, coraz bardziej wrośnięty w zabudowę Kazimierza. Być może projekt owego domu, autorstwa piszącego te słowa, tak odległy w swym wyrazie od przejawów architektury eklektycznej, wydawał się licznym architektem, członkiem powołanej przez ministerstwo komisji, i konserwatorowi Kazimierza, Karolowi Sicińskiemu, dostatecznie wartościowy pod względem architektonicznym, by zakwalifikować go do realizacji w wybranej sytuacji w Kazimierzu. Wydaje się, również w drodze asocjacji, że każda inna, wyobraźna koncepcja zabudowy terenu zajmowanego przez obecnie istniejącą galeriowy dom mieszkalny byłaby czymś obcym w tym otoczeniu.

TOWARZYSTWO Przyjaciół Kazimierza uświetniło obchody 80-lecia tej miejscowości wydaniem cennego i na pewno od dawna oczekiwanego, przez miłośników tego uroczego miasta, opracowania.

Monografia ta jest rozbudowaną przez autorkę transpozycją tekstu pierwszego tomu studium urbanistycznego, powstałego w latach 1970-tych w Oddziale Lubelskim PKZ w Lublinie. Studium to było podstawą historyczną dla opracowania planu szczegółowego zagospodarowania przestrzennego Kazimierza. Kilkutomowe studium stanowi opracowanie zbiorowe, jego sporządzenie poprzedzone było wykonaniem kwerendy archiwalnej miejscich ksiąg kazimierskich, dotychczas w małym stopniu wykorzystanych przez poprzednich monografistów miasta.

Kwerenda objęła również autorka inne zespoły archiwalne i biblioteczne, kartograficzne i ikonograficzne, dzięki czemu monografia opracowana została w oparciu o wyjątkowo bogatą bazę źródłową.

Monografia składa się z trzech części: pierwsza — to historia Kazimierza od średniowiecznych początków, aż po lata współczesne; druga — topografia historyczna, dotychczas w literaturze o Kazimierzu nie uwzględniona, a zawierająca omówienie topografii historycznej i nazewnictwa ulic i placów, wzgórz i wąwozów, cieków wodnych, szlaków handlowych i dróg lokalnych oraz folwarków, przysiółków i lasów. Część trzecia zawiera dodatki źródłowe, na które składają się: zestaw właścicieli starostwa kazimierskiego, wykaz przywilejów nadawanych miastu, kalendarium ksiąg żywołowych i wojennych oraz aneksy mówiące o ważniejszych dokumentach dotyczących miasta, począwszy od Długosza, aż po koniec XIX wieku. Bibliografia licząca około 130 pozycji zestawiona jest oczywiście w wyborze ważniejszej literatury przedmiotu, wykorzystanej w monografii.

Uzupełnienie opracowania stanowi odrys mapy Kazimierza z 1821 r., z naniesieniem historycznego nazewnictwa oraz plan miasta z pokazaniem dawnej sieci ulicznej i jej historycznych nazw.

Monografia ilustruje 88 reprodukcjami starych widoków i fotografii oraz planów dokumentujących poszczególne partie tekstów.

W dotychczasowej literaturze o Kazimierzu monografia J. Teodorowicz-Czerepińskiej jest opracowaniem najobszerniejszym i najpełniejszym, uwzględniającym aktualny stan badań i ustosunkowującym się do nich, a merytorycznie nowatorskim.

Szczególnie interesujące są rozważania i wnioski o początkach powstania Kazimierza od osady na Wietrznej Górze począwszy, aż do miasta na prawie niemieckim. Autorka słusznie polemizuje z poglądami M. Małarskiego na fazy rozwoju przestrzennego osiedla, a także z rozważaniami J. Żurawskiego odnośnie zabudowy górnego rynku. Wydaje się, że ostateczne rzezy poparte będą jednak rezultatem systematycznych badań

archeologicznych, przeprowadzonych w rejonie Ryńka. Dotychczasowe badania obserwacje, fragmentaryczne, zbierane były „przy okazji” i w sposób nieprzejęty.

Równie zresztą pochłaniają uwagę następną rozdział historii Kazimierza — w okresie nowożytnym, w XIX i XX wieku. Monografia to prawdziwa kopaliną świadomości o Kazimierzu i należy żałować, że termin oddania maszynopisu do druku nie pozwolił na przygotowanie indeksów — topograficznego, rzeczowego i osobowego. Indeks swą zawartością unoczniliby czytającym obrzytną ilość wiadomości zawartych w monografii, a ponadto spełniałyby wymogi opracowania naukowego.

Alc jedna drobna uwaga pro domo sua. W kalendarium ksiąg żywołowych pod rokiem 1644 brakuje dodatkowego powołania się na interesujące źródło wiadomości o gwałtownym deszczu w Kazimierzu w dniu 20 maja. „Piszę nowa o gwałtownym deszczu w Kazimierzu Dolnym” to druk współczesny, opisujący ową klęskę trwającą cztery minuty. Pisałem o tym w „Kamieniu” (R. 1969 nr 23 z 9.XI s. 11).

Exemplarz, który trzymam w ręku, pachnie jeszcze świeżą farbą drukarską. Nie sposób w tych krótkich kontaktach z książką zdobyć się na metodyczny rozbiór jej zalet, bogactwa analiz źródeł i wynurzeń wniosków.

Prof. dr Adam Miłobędzki, recenzent monografii, tak pisze we wstępie do książki: „... widzenie przestrzenne miasta przestało być ograniczone do ścisłej strefy urbanistycznej, a rozszerzone zostało na całe terytorium, na role, lasy, nieużytki itd., stanowiące z osiedlem harmonijną całość krajobrazową, biologiczną, ekonomiczną i kulturową. Takie nowoczesne (a zarazem nowatorskie) całościowe ujęcie spotykamy w najnowszej książce, która zakresem swym znacznie wykracza poza klasyczną monografię miasta. Książka ta stanie się niewątpliwie wzorem dla nowego rodzaju studiów urbanistycznych”.

Monografia wydrukowana w Puławach, w Drukarni Zakładów Azotowych, w rekordowym czasie. Maszynopis przekazano do składu w styczniu, w maju książka była gotowa.

Nakład książki — 5000 egzemplarzy — jest oczywiście niewielki w stosunku do zainteresowanych, których liczba — wobec naszych możliwości wydawniczych — gwałtownie rośnie. Trzeba więc zwrócić się z apelem do Towarzystwa Przyjaciół Kazimierza, by umożliwiło nabycie monografii ośrodkom uniwersyteckim i większym bibliotekom, do których to cenne wydawnictwo mogłoby nie trafić, jeśli byłoby rozprowadzane tylko w Kazimierzu.

Henryk Gawarecki

* Jadwiga Teodorowicz-Czerepińska, Kazimierz Dolny — Monografia historyczno-urbanistyczna, Kazimierz 1981.

Kazimierz bez dekoracji

serwację kazimierskich zabytków wydatkowałem 48 mln. złotych. Jest to bardzo mało, biorąc pod uwagę potrzeby i zwiększające się z roku na rok koszty prac konserwatorskich. Zdobyć fundusze było i jest nadal zadaniem ogromnie trudnym. Chcę też powiedzieć, że w tym okresie podjąłem działania konserwatorskie w 48 obiektach architektury i urbanistyki. Przeszło 25 osobom przekazałem bezwrotną dotację w wysokości 5,6 mln. złotych na odbudowę i konserwację zabytkowych budowli, będących w ich użytkowaniu”.

Zapytany, jakie są potrzeby materialne w zakresie ochrony zabytków Kazimierza, J. Żurawski odpowiedział:

„Ogromne. Do końca swego życia nie będę w stanie ich zaspokoić. W bieżącym roku na odbudowę i utrzymanie Kazimierza otrzymałem 4,5 mln. złotych. Jest to suma zbyt mała, aby można było zrobić dużo. Możliwości kraju są jednak nadal niewielkie i chyba należy jeszcze poczekać na lepsze czasy dla Kazimierza. Oby nie przyszły one jednak zbyt późno”.

Zdaniem naczelnika miasta, Andrzeja Szczyty, który pełni funkcję od 1978 roku, Kazimierz pilnie potrzebuje kilku inwestycji. Jeśli nie dojdzie do ich realizacji, sytuacja społeczna, gospodarcza i ta, jaką wyznacza ochrona zabytków, ulegnie nad Wisłą dramatycznej komplikacji.

Po pierwsze: należy dokończyć budowę obwodnicy, ponieważ ciężki transport samochodowy z Lublina i Puław na Opole, przebiegający obecnie przez centrum miasteczka, fatalnie osłabia (wstrząsają) strukturę zabytkowych obiektów. W tej chwili z budynków przy ul. Lubelskiej, stojących w pobliżu rynek, ale także z częściowo zamieszkałej łaźni, projektowanej w międzywojniu przez Jana Wiśniewicza-Koszczyca, należy natychmiast wykwatować 17 rodzin. Miejmy nadzieję, że dyrekcja Okręgowa Drogi Publicznych w Lublinie dotrzyma solennej obietnicy i rozpocznie budowę w drugiej połowie 1981 roku. Wykwatowanych mieszkańców umieszczać się zapewne w jednym z 12 domów wypoczynkowych — bo innego wyjścia nie ma. Budynki rotacyjne na Kwaskowej Górze oddane będą do użytku. Jak dobrze pójdzie, dopiero w przyszłym roku.

Po drugie: Ministerstwo Rolnictwa gwałtownie wycofuje się z gruntach III klasy, zlokalizowanych na uzbrojonym obszarze Kwaskowej Góry, można wzniesić smoleńskie osiedle mieszkaniowe, złożone z obiektów willowych dla 168 rodzin. Godne

pochwały plany osiedla opracował katowicki „Inwestprojekt” — jeszcze w 1976 roku, po wygraniu stosownego konkursu. W Ministerstwie Rolnictwa sprawa „leży” także nie krótko, bo dwa lata. Warto przy tym wiedzieć, że poza wspomnianym w Kazimierzu nie ma innego miejsca, na którym można by wzniesić osiedle mieszkaniowe, tak potrzebne miastu.

Po trzecie: należy przyspieszyć budowę (II etap) sieci wodno-kanalizacyjnej. Niektóre ulice Kazimierza nadal, jak pół wieku temu, cuchną szambami, a Komunalne Przedsiębiorstwo Robot Inżynierskich z Lublina, wykonawca inwestycji, chwali się głównie opieszałością.

Budowa parkingów przy stacji benzynowej (sprawa PZMot.), targowicy miejskiej przy ul. Krakowskiej, wysypiska śmieci w Dąbrówce oraz przychodni zdrowia (są limity, lada tydzień będzie pełna dokumentacja) — oto kolejne pozycje na liście potrzeb Kazimierza. Pora też na usamodzielnienie tutejszego zakładu puławskiego Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. W dotychczasowym układzie cierpi on na permanentny brak fachowców (w grupie budowlanej znajduje się raptem jeden specjalista), materiałów (nie ma farb, dachówki, blachy miedzianej na rynny) oraz sprzętu — na przykład do sprzątania miasta, czy pielęgnacji zieleni — ale i rzetelnego stosunku do wykonywanej pracy. Wiadomo, dyrekcja lepiej dostępuje to, co znajduje się pod ręką, w Puławach.

W Kazimierzu, „perle tej naszej renesansowej i Mekce malarzy”, pękają mury zabytków, sypie się budynek restauracji „Esterka”, pięcioosobowe rodziny gnieźdzą się na 20 metrach kwadratowych mieszkań z kolektywną kuchnią i łaźnią — a tymczasem już w 1978 roku lubelskie PKZ zakończyły prace nad programem rewaloryzacji, obiecującym rozwiązanie niemal wszystkich wymienionych tu problemów. Do dziś jednak nie doczekał się on zatwierdzenia na szczeblu centralnym.

Od kilkudziesięciu lat, okresowo, Kazimierz staje się przedmiotem narodowej dyskusji na łamach prasy, w radiu i telewizji. Niemal zawsze po takiej debacie zaczyna się jakiś sensowny ruch wokół miasteczka, a potem

rzecz wraca do smutnej normy, obciąża się kredyty, wstrzymuje dotacje, latami nie zatwierdza ważnych dokumentów. A czas robi swoje, nadgrza kamienie Przybyłowskie, jakby przypominając władzom miejskim i bankowi, że te właśnie instytucje użytkują owe obiekty, a tym samym zobowiązane są do bieżących remontów „św. Mikołaja” i „św. Krzysztofa”. W Kazimierzu ciągle mamy do czynienia z polityką łatania dziur, napraw i działań osobnych, nie powiązanych jednym, integrującym programem, który obligowałby wszystkie instytucje i społeczeństwo miasta do wspólnej aktywności na rzecz tego specjalnego miejsca nad Wisłą, cennego przede wszystkim dlatego, ponieważ tak szczerze obdarzyły je historia i sztuka. Krótko mówiąc, Kazimierz jest typową ofiarą naszej polityki społeczno-gospodarczej i kulturalnej, uprawianej w rytmie rwanym, jakby niezdołnej do ogarnięcia całokształtu życia zbiorowego.

W samym Kazimierzu też nie ma zgody. Na pytanie, jak układa się współpraca władz miejskich z konserwatorem, A. Szczyta informuje bez entuzjazmu, że nie chciałby się na ten temat wypowiadać, ale prawda, są różnice zdań, a podczas sesji rady narodowej ludzie pytają, kto ostatecznie rządzi nad Wisłą: Żurawski czy Szczyta?!

Rezerwa do Jerzego Żurawskiego jest w Kazimierzu niemal powszechna, to nie ulga wątpliwości. W potocznych rozmowach chętnie przeciwstawia się działalności obecnego konserwatora pracom inżyniera Karola Sicińskiego, który w drugiej połowie lat czterdziestych i na początku następnej dekady odbudował Kazimierz ze zniszczeń wojennych, projektując m.in. Dom Architekta. Rzeczywiście, ten człowiek (1884—1965) położył ogromne zasługi w dziele ochrony zabytków miasteczka w którym po raz pierwszy znalazł się w roku 1916 celem inwentaryzacji architektury lokalnej i zamku w Bochnicy. I bardzo dobrze, że chwala dziś ludzi Sicińskiego, bo ten architekt, malarz i rysownik, swego czasu student krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, w pełni na to zasłużył. Przypomnijmy jednak, że za życia obrzucano go obelgami i zarzutami nie różniącymi się wiele od tych, jakie kieruje się obecnie pod adresem Żurawskiego — czasami nawet pod szyldem instytucji, od

której należałoby wymagać zrozumienia istoty i trudności działalności konserwatorskiej. Niestety, przywata to w Kazimierzu sposób myślenia, mocno zakorzeniony w umysłach wielu tutejszych obywateli.

Tymczasem można udowodnić, wręcz wyliczyć, że Jerzy Żurawski okazał się człowiekiem co najmniej pożytecznym dla Kazimierza, mądrze kontynuującym linię swoich wybitnych poprzedników: Jana Witkiewicza-Koszczyca i Karola Sicińskiego. Paradoksalne, ale to właśnie leży u podstaw napaści na obecnego konserwatora, który nad prywatę i kompromisy przedkłada dobro kultury narodowej. Żurawski w pełni zdaje sobie sprawę, że miał rację Alfred Lauterbach pisząc: „Uratowanie Kazimierza jest uratowaniem fragmentu kultury polskiej”.

Warto o tym pamiętać w dniach jubileuszu miasta, zorganizowanego przez Towarzystwo Przyjaciół Kazimierza (istnieje od 1925 r.) i władze administracyjne nadwiślańskiej miejscowości, której początek dała wieś Wietrzna Góra, istniejąca w XII wieku, a może wcześniej, ochrzczona później imieniem Kazimierza (Sprawiedliwego), jako miasto na prawie polskim rozbudowana przez Kazimierza Wielkiego, a okres największej prosperity przechodząca od połowy XVI do połowy XVII stulecia, kiedy to wzbogaceni na handlu zbożem mieszczańscy kazimierscy wzniesli swoje wspaniałe kamienice: Przybyłów, Celejów, Górskich, kiedy farze nadano szatę renesansową i przebudowano zamek z czasów „króla chłopów”.

Warto też pamiętać, że po dziesięcioleciach upadku i zapomnienia Kazimierz „odkryli” artyści i historycy sztuki gdzieś przy końcu minionego wieku. Ośrodkiem sztuki polskiej miasto stało się po roku 1923, kiedy to Tadeusz Pruszkowski, profesor warszawskiej Szkoły Sztuk Pięknych, portrecista pięknych kobiet, Zeromskiego i Piłsudskiego, przeniósł tu plenery studenckie z kaszubskich Kartuz.

Kazimierz liczy dziś prawie tyle samo mieszkańców, co w latach trzydziestych, kiedy miastem rządził Tadeusz Ulanowski — najlepszy burmistrz, jak powiedział się nad Wisłą w XX wieku, pochodzący ze starego rodu, od setek lat wrośniętego w tę ziemię. Innych szefów lokalnej administracji na ogół przywożono „w teczkach”.

Ireneusz J. Kamiński

Kamena str. 13

Socjalizm - cele i środki

Dokończenie ze str. 1

Przypisywanie znamion atrybutów socjalizmu sformułowanym w określonych warunkach środkiem jego realizacji jest szczególnie niebezpieczne dla urzeczywistnienia socjalizmu, a także może kompromitować wielkie, humanistyczne idee, jakie przyswiewały zawsze ruchom socjalistycznym. Nadawanie cech atrybutów określonym sformułowaniom, które w odniesieniu do przyszłego ustroju sprawiedliwości społecznej formułowali klasycy marksizmu, w jakże odmiennych warunkach i nie traktując ich jako prawdy absolutnej, narobiła sporo zamieszania i — sądząc — do dziś jeszcze obciąża marksizm. Już bezpośrednio po rewolucji usiłowanie budowania społeczeństwa bez rynku i bez stosunków towarowych w Rosji Radzieckiej można uznać za próbę (z której na szczęście szybko się wycofano) niedialektycznego realizowania pewnych wizji zawartych w dziełach marksistowskich. Tego typu eksperymenty, znane także z polityki innych krajów mieniących się socjalistycznymi czy komunistycznymi (a przypadkiem najbardziej skrajnym i ponurym jest tu polpotowska Kambodża), wskazują, jak bardzo niebezpieczne dla idei socjalizmu jest zapomnienie o podstawowej prawdzie, iż to socjalizm jest dla ludzi, a nie ludzie dla socjalizmu. Abstrahując od tego eksperymentu społecznego — od tych najmniej do tych najbardziej niebezpiecznych — noszą wszystkie cechy socjalizmu utopijnego, nie naukowego. To takie właśnie eksperymenty, takie próby realizacji apriorycznych idei i modeli są sprzeczne z naukowym podejściem do procesów społecznych, z marksizmem rozumianym nie jako zbiór dogmatów, nie jako forma niezmiennej religii, lecz jako filozofia społeczna nie formułująca prawd absolutnych, nie stawiająca apriorycznych ograniczeń, opierająca się na doświadczeniu i praktyce społecznej, traktująca wszystkie zjawiska jako zmienne w czasie, jako wzajemnie ze sobą powiązane.

Istotną cechą marksizmu jest bowiem nie tylko dialektyczny sposób widzenia rzeczywistości i dialektyczna metoda badawcza, nie tylko przypisywanie praktyce społecznej roli jedynego weryfikatora teorii, nie tylko przyjęcia szczególnej roli bytu społecznego w kształtowaniu świadomości społecznej. Istotną cechą marksizmu jest też krytycyzm wobec rzeczywistości społecznej. Mark-

sizm to filozofia sprzeciwu przeciwko istniejącemu zła. Krytycyzm ten odnosi się także i do teorii społecznych, nie wyłączając samych teorii marksistowskich. Uniwersalizm filozofii marksistowskiej nie pozwala na wyłączenie z krytyki własnej teorii. Takie wyłączenie oznaczałoby bowiem odrębne traktowanie swej własnej teorii, jej nieweryfikowalność naukową, a zatem przekształcanie marksizmu w specyficzną odmianę religii.

W świetle dotychczasowych rozważań jest zatem oczywiste, że marksista nie może traktować istniejącej rzeczywistości jako pełnej realizacji idei i celów stojących przed socjalizmem, że musi być wobec niej krytyczny. Nie zwalnia go to, a wprost przeciwnie — obliuguje do poszukiwań takich rozwiązań, które zapewnić by mogły lepszą realizację wielkich, humanistycznych idei socjalizmu, socjalizmu dla człowieka.

Jakie to cechy możemy uznać dziś za istotne dla gospodarki socjalistycznej? Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy odwołać się do celów socjalizmu, do wielkich idei, jakie przyswiewały i przyswiewają ruchom socjalistycznym całego świata. Te idee to pełniejsza wolność, równość, sprawiedliwość, ludzkie szczęście, godne życie. W sferze ekonomicznej idee owe można zawrzeć w jednym stwierdzeniu: socjalizm powinien prowadzić do przeciwdziałania alienacji pracy, tj. zjawisku wewnętrznego oderwania człowieka od wykonywanej pracy, uczynienia z niego swego rodzaju narzędzia pracy.

Wskazać przy tym trzeba na dwie główne przyczyny alienacji pracy. Jedną z nich wynika z własności, tj. pracy na cudzy rachunek. Na własność środków produkcji trzeba tutaj spojrzeć nie w sensie prawnym, określającym, kto jest w dokumencie zapisany jako właściciel, lecz w sensie ekonomicznym, tj. wskazującym, kto rzeczywiście dysponuje tymi środkami, kto podejmuje decyzje, jak je wykorzystać oraz co zrobić z wytworzonym dzięki nim dochodem. Jeśli własność środków produkcji skupiona jest w ręku części społeczeństwa, część zaś (z reguły znacznie większa) jest jej pozbawiona, to powstaje sytuacja, w której ta druga część staje się przedmiotem, a nie podmiotem decyzji. Powoduje to oderwanie pracy, traktowanie jej jako konieczności, przykrej lecz wynikającej z sytuacji ekonomicznej. Podobną alienację wywołuje nie tylko koncentracja własności w ręk-

kach części społeczeństwa, lecz także koncentracja funkcji kierowniczych, przy pozostawieniu pozostałym członkom jedynie funkcji wykonawczych.

Drugą przyczyną alienacji pracy jest inny jeszcze rodzaj podziału pracy i specjalizacji. Podział ten — powstały na pewnym etapie historycznego rozwoju społeczeństwa i przynoszący temu społeczeństwu znacznie szybszy wzrost wydajności pracy, znacznie szybszy rozwój — powoduje, że są prace ciekawsze i mniej ciekawe, czy wręcz „niehumanitarne”. Podział ten powoduje zatem, że obok naukowca, lekarza, czy dziennikarza muszą istnieć szewcy, rzeźbiarze czy śmieciarze. Współczesne społeczeństwo nie może istnieć bez takiego podziału pracy (w zamierzalnej przeszłości każdy człowiek był po trochu wszystkim) i trudno dziś sobie wyobrazić, aby w przewidywalnej przyszłości człowiek mógł być uwolniony od takiego podziału, aby mógł swobodnie wybierać i zmieniać pracę, zgodnie ze swoimi zainteresowaniami, i aby była ona jego podstawową potrzebą, a nie koniecznością.

Kształtowanie stosunków socjalistycznych nie może być zatem aktem jednorazowym. Socjalizm jest procesem społecznym, zmierzającym do coraz pełniejszego wyzwolenia człowieka, do coraz silniejszego ograniczenia alienacji pracy. Możliwość jej całkowitego przezwyciężenia jest jednakże kwestią ogromnie odległą. Jakie cechy powinny dziś charakteryzować gospodarkę socjalistyczną, aby zapewniała ona realizację tych celów. Jakże środki służą realizacji idei socjalizmu?

Do cech tych zaliczyć trzeba: wysoką efektywność ekonomiczną, faktyczny udział bezpośrednich wytwórców we wszystkich stronach procesu produkcyjnego (samorządność wytwórców), sprawiedliwy podział dóbr.

Efektywność ekonomiczna jest niezbędna dla realizacji celów socjalizmu w dwójakim sensie. Z jednej strony bowiem zapewnia ona jak najpełniejsze — w danych warunkach — zaspokojenie ludzkich potrzeb, zapewnia obfitość dóbr i usług, ułatwia życie, czyni je szczęśliwszym, bardziej pełnym, bo wolnym od trosk materialnych dnia codziennego. Z drugiej strony — wysoka efektywność ekonomiczna umożliwia też skracanie pracy, bowiem niezbędne społeczeństwu dobro można wytworzyć w krótszym czasie. Zapewnia to wydłużenie czasu wolnego, jaki człowiek poświęcić może na doskonalenie swej osobowości, realizację zainteresowań. Efektywność ekonomiczna wydłuża więc czas, który oznacza dla człowieka „królestwo wolności”. Działanie w obu kierunkach zmniejsza poczucie alienacji, ogranicza ją. Dodatkowo efektywność ekonomiczna stanowi dla producenta potwierdzenie sensowności wydatkowanej przez niego pracy. Tylko dobro pożądane przez społeczeństwo znajduje bowiem nabywcę, dobro zaś nie znajdujące nabywcę nie zapewnia producentowi efektywności. To poczucie sensowności pracy, potwierdzające się w efektywności ekonomicznej

WSPÓŁCZESNY TERRORYZM

Dokończenie ze str. 1

Terrorysty, z reguły przekonani o szlachetności sprawy, której bronią, pośpiesznie rozrzeszają się z popelnianych zbrodni. Nie obciążeni poczuciem winy, winę przypisują innym, najczęściej osobistościom politycznym reprezentującym państwo. Czym wyższe stanowisko w hierarchii władzy, tym większa wina. Związek między „winą” ofiary a rzeczywistym celem zamachu bywa więc faktycznie przypadkowy. Granice przypadkowości swych ofiar rozszerzają terrorysty niepomiarowo, sięgając do zakładników. Osoba zakładnika staje się dla terrorystów wartością przetargową, mającą skłonić władzę do spełnienia stawianych przez nich żądań. W rzeczywistości każdy człowiek może być ofiarą terroryzmu. Posługują się więc terrorysty czymś zbliżonym do faszystowskiej koncepcji odpowiedzialności zbiorowej. Gdy jednak dla faszystów odpowiedzialność taka zamyka się w obrębie narodu bądź rasy, dla terrorystów jest bezgraniczna i obejmuje niemalże całą ludzkość. Terroryzm charakteryzuje się bardzo dowolnym operowaniem pojęciem winy i zupełnie ślepym wymierzaniem kary. Gdy w powszechnym niemalże odczuciu kara następować może po zaistnieniu uprzednio winy i w wysokości proporcjonalnej do winy, terrorysty nie znają takich reguł prawie wcale.

Wyróżniono już wiele rodzajów terroryzmu, pogłębiając znajomość anatomii zjawiska. Mówi się o terroryz-

mie krajowym i międzynarodowym. Ten ostatni wiąże się z bardzo skomplikowaną sprawą uznawania aktów terrorystycznych za przestępstwa polityczne. W podzielonym i skłóconym politycznie świecie to, co w jednym systemie jest przestępstwem politycznym, w drugim może uchodzić za akt wzniosłej odwagi i chluby. Rozbieżności takie nie tylko utrudniają walkę z terroryzmem międzynarodowym, ale i skłaniają niektóre państwa do wykorzystywania narzędzia terroryzmu celem zwalczania swych przeciwników — innych państw. Działania takie nazywane są niekiedy terroryzmem państwowym, popelnianym przez państwa silniejsze w stosunku do słabszych, często opartym na różnych postaciach szantażu. Od terroryzmu państwowego odróżniany jest terroryzm prywatny, obciążający jednostki, chociaż często wciągający w konflikty również państwa.

W zależności od liczby uczestników aktu terrorystycznego można wyszczególnić terroryzm indywidualny i grupowy. Względny jest podział terroryzmu na lewicowy i prawicowy, jakkolwiek dość trwały. Rodzi się zwłaszcza wątpliwość, czy siły lewicowe, pretendujące do miana postępowych, mogą sięgać do terrorystycznych środków. Sztuczny jest podział terroryzmu na psychiczny i fizyczny, wszak w rzeczywistości oba najczęściej splatają się ze sobą bardzo ściśle. Utrwalił się już podział na terroryzm „czerwony”, oparty na strzelaniu do ofiar, i terroryzm „czarny”, polegający na unicestwianiu ofiar poprzez eksplozję, najczęściej z użyciem dynamitu.

Za najstarszego poprzednika współczesnego terroryzmu uznawany jest Hassen Ben Sabbah. Około 1099 roku założył on w Persji tajne stowarzysze-

nie asasinów. Zamroczeni haszyszem i podnieceni erotycznie, członkowie stowarzyszenia bez wahania zabijali wskazane ofiary na rozkaz przywódcy. Słabo posłuszni fascynującemu „starcowi z gór” i kierowani fanatyzmem religijnym, zgadzili wielu rycerzy krzyżowych. Od tego czasu terroryzm ukazywano w aurze narkomanii, morderstw i nieumiarkowanego erotyzmu.

Znacznie mniej odległe w czasie są historyczne paralele terroryzmu współczesnego z anarchizmem. Jakkolwiek pierwszy szuka inspiracji w drugim, dominują zdecydowanie różnice istniejące między nimi. Anarchizm występował w imię zniszczenia starego, uznawanego za zły, ustroju kapitalistycznego i pragnął wprowadzić nowy, lepszy ustrój. Terroryzm nie ma takich celów. W mdłej i mglistej frazeologii politycznej paranoi terroryzmu ledwie dostrzec można nikiłe ślady dążeń do poprawienia świata i ludzi. Anarchiści unikali starannie sięgania do szczególnie niecznych aktów, jak np. porywania dzieci bądź wyrafinowanego dręczenia zakładników. Terrorysty sięgają do tego bez skrupułów. Anarchistom przyswiecała ideologia lepszego świata, terrorysty usiłują zabić ludzkie nadzieje na lepszy świat. Anarchiści mieli własną etykę działania i celów, terrorysty podobni są do pospolitych morderców.

Podobnie jak pospolici zbrodniarze, terrorysty dają upust sadystyczno-masochistycznej przewrotności, kontentując się własną i cudzą udręką nienaturalnej śmierci. Gdy jednak pospolici mordercy czyhają na swoje ofiary w miejscach odosobnionych, licząc na bezkarność, terrorysta potrzebuje możliwie największego audytorium dla zbrodniczego widowiska, którego sam jest sprawcą.

Terroryzm współczesny jest w znacznym stopniu ubocznym wytworem środków masowego przekazu, a zwłaszcza telewizji. W świecie zdewaluowanych wartości tylko przemawianie językiem skrajności przykuwa może uwagę szerszej „publiki”. Toteż terrorysta przemawia językiem najokrutniejszym, językiem śmierci. Towarzyszy mu świadomość, że w inny sposób nigdy nie przebilby się do tak wielkiego grona odbiorców. Jednocześnie zna skuteczność oddziaływania tego, czyje nazwisko znajduje się na czołówkach gazet, a wizerunek pojawia się na ekranach telewizorów. Sam akt terronu uznaje za środek ledwie; rozgłos nadawany własnej sprawie — za cel właściwy. W epoce telewizji świat obrazów realnych pomieszał się ze światem obrazów wyimaginowanych. Oceny moralne świata realnego poplątały się z obojętnością moralną światów wyobrażonych. Nie trudno więc ludziom wyzbytym osądu moralnego działania także naśladować, ale jest dla nich rzeczą niemożliwą właściwie je moralnie ocenić. Teatr współczesnej telewizji, z jej fascynacją przemocą i apokalipsą śmierci, jest razem wielkim teatrem współczesnego terroryzmu.

Przemoc zawsze towarzyszyła ludzkości. Zmieniają się jedynie techniczne oprawy przemocy, doskonałe stale własne narzędzia. Nasza epoka rewolucji naukowo-technicznej przyniosła przerażający wzrost możliwości urzeczywistnienia przez ludzi ich śmiertelnych pomysłów. Techniczne środki militarne podsuwają terrorystom przemyślnie i groźne bronie. Osiągnięcia komunikacyjne ludzkiej przestępczości szansą szybkiej ucieczki w rejony odległe od miejsca zbrodni. Monstrualnie rozwinięte środki masowego przekazu nadają całości dramatycznej oprawy. Na tle postępu technicznego, wykorzystywanego dla przestępczych celów, błado rysują się traktaty o postępie moralnym. Gdy ten pierwszy jest czymś realnym, ten drugi pozostaje przede wszystkim czymś pożądanym, ale jakże trudno osiągalnym.

własnego działania, jest niezmiernie ważne dla wytwórcy, bez tego praca nie może być traktowana jako forma samorealizacji się człowieka. Efektywność ma więc nie tylko wymiar materialny kształtuje ona również stosunek człowieka do pracy, przeciwdziała jej alienacji.

Udział bezpośrednich wytwórców w podejmowaniu wszystkich decyzji ekonomicznych (co produkować, jak produkować, jak dzielić wytworzony dochód) może być realizowany bezpośrednio przez jednostkę wyłącznie w odniesieniu do własności drobnotowarowej, tj. w przypadku, kiedy właściciel jest jednocześnie (ewentualnie wraz z rodziną) głównym pracownikiem swego przedsiębiorstwa. Dotyczy to więc tych kierunków gospodarki, w których procesy koncentracji produkcji nie zmuszają do koncentracji ludzi (siły roboczej), a więc idzie tu przede wszystkim o rolnictwo, rzemiosło, część handlu, transportu itp. We wszystkich innych przypadkach, przede wszystkim w przemyśle, podejmowanie decyzji przez bezpośrednich wytwórców może następować pośrednio — przez reprezentującą załogę samorząd pracowniczy. Taki samorząd powinien być głównym podmiotem decyzyjnym w socjalistycznym przedsiębiorstwie przemysłowym. Decyzje ekonomiczne nie mogą być w tym przypadku podejmowane przez jednostki bądź niewielkie grupy. Bowiem — według K. Kautsky'ego — wolność w społeczeństwie jest tym większa, im większa jest liczba tych, od których wychodzą nakazy społeczne. I nie ma poważniejszego znaczenia, iż pojedynczy decydenci czy grupy decydenckie nie są formalno-prawnymi właścicielami środków produkcji. Natomiast koncentracja funkcji decyzyjnych w rękach wąskich grup oznacza brak realizacji tej tak ważnej cechy socjalizmu, jaką stanowi demokracja ekonomiczna (samorządność), i utrwała alienację pracy. Samorządność zaś zmniejsza alienację, gdyż zapewnia każdemu uczestnikowi procesu produkcyjnego demokratyczny wpływ na ekonomiczne decyzje przedsiębiorstwa.

Sprawiedliwy podział dochodów jest kolejną cechą i potężnym czynnikiem dezalienacyjnym. Wszelkie subiektywne odczucie niesprawiedliwości oceny własnej pracy unieszczęśliwia człowieka. Alienacji sprzyjają szczególnie zjawiska korzystania przez pewnych ludzi lub grupy społeczne z dóbr bez wkładu pracy z ich strony, lub czerpania nieproporcjonalnie wielkich dochodów w stosunku do własnej pracy. Pojawia się tu jednak trudny problem oceny wartości ludzkiej pracy, aby według niej, jako jedynej w sferze ekonomicznej możliwej do realizacji kryterium, móc dokonywać podziału dochodów. Tym miernikiem powinien być akceptowany przez społeczeństwo nakład pracy, a akceptacja społeczna dokonuje się na rynku dzięki działaniu prawa wartości. Właśnie na rynku następuje sprawdzenie sensowności wydatkowanej pracy, zarówno pod

względem jej kierunku, jak i wysokości nakładu. Jest to jedyny obiektywny miernik pozwalający jednostkową ludzką pracę ocenić z punktu widzenia przydatności społecznej.

Powyższe cechy, których istnienie zapewnia realizację celów socjalizmu są charakterystyczne dla socjalistycznej własności samorządowej, własności grupowej (spółdzielczej), a także indywidualnej własności drobnotowarowej. Dalsze gospodarka socjalistyczna jest bowiem układem wielosektorowym. Tak więc gospodarstwo chłopskie nie stanowi obcego wtrętu do gospodarki socjalistycznej, lecz jest pełnoprawnym elementem własności socjalistycznej. Sprawne ekonomicznie, wiążące producenta bezpośrednio z efektami jego pracy, dające producentowi możliwość podejmowania wszystkich decyzji ekonomicznych, nie tworzące alienującego podziału na pracę kierowniczą i wykonawczą, zapewniające pracy wiele cech twórczych, a także sprawiedliwy podział — ma ono wszelkie cechy własności socjalistycznej. Nie posiada natomiast tych cech biurokratyczna (tj. niekontrolowana przez samorząd pracowniczy, a jedynie przez aparat biurokratyczny) własność państwowa. Jej uspołecznienie to wielkie zadanie reformy gospodarczej. Samorządność i samodzielność przedsiębiorstwa nie są tylko środkami do zwiększenia efektywności gospodarki, są one także sposobem realizacji celów socjalizmu.

Dla istnienia wyżej wymienionych cech muszą być spełnione dwa warunki. Z jednej strony niezbędne jest działanie rynku i prawa wartości, z drugiej zaś — koordynacja ogólnospołeczna.

Bardzo wyraźnego podkreślenia wymaga, iż żadna z wymienionych tu własności gospodarki socjalistycznej, zapewniających realizację celów socjalizmu, nie może istnieć właśnie bez rynku. Warunkuje on weryfikację społecznego nakładu pracy i tą drogą zapewnia wysoką efektywność ekonomiczną. Próby prowadzenia gospodarki bez rynku, bez prawa wartości oraz mechanizmu podaży i popytu doprowadziły u nas do katastrofalnego marnotrawstwa pracy społecznej. Również demokracja ekonomiczna, tj. samorządność wytwórców, nie jest możliwa bez działania rynku. Jedynie bowiem przy samodzielności przedsiębiorstwa i przy zasadzie jego samofinansowania załoga ma rzeczywisty wpływ na decyzje ekonomiczne i jest rzeczywiście za te decyzje odpowiedzialna, zarówno w sensie pozytywnym, jak i negatywnym. Pozytywnym tzn. osiąga korzyści z decyzji trafnych, akceptowanych przez społeczeństwo na rynku; negatywnym, tzn. ponosi straty związane z decyzjami nietrafnymi, podjęciem produkcji społecznie zbędnej bądź nieakceptowanej (np. ze względu na niską jakość). Rynek jest w końcu niezbędny, aby mógł się dokonać podział według pracy. Powiązanie dochodów pracowników z akceptowanymi przez społeczeństwo efektami ich pracy to jedyne

kryterium, w którym następuje połączenie jednostkowego interesu wytwórcy z interesem społeczeństwa (konsumentów). Niebagatelne znaczenie ma też fakt, iż bez rynku nie istnieje możliwość realizacji wolności konsumenta, wolności osiagnania własnego, preferowanego przez człowieka modelu konsumpcji. Jedynie rynek zapewnia możliwość swobodnego wyboru różnych dóbr w ramach posiadanych z tytułu pracy dochodów; wszelkie formy nierynkowe powodują mechaniczną podziału i ograniczają wolność konsumenta. Dobity przykład stanowi tu wprowadzany obecnie z konieczności system kartkowy. Unifikuje on model konsumpcji, zmuszając każdego do spożycia masła (może ktoś nie lubić), kasz i płatków, a w perspektywie, do której, mam nadzieję, nie dojdzie — pęczka rzodkiewki, główki sałaty i może pary gumiaków na jakiś czas.

Sam rynek wszak nie jest mechanizmem wyścigającym w nowoczesnym społeczeństwie. Jak każdy mechanizm, działa automatycznie, co wprawdzie stanowi jego wielką zaletę, ale może także być wadą. Dla korygowania ewentualnych niedomogów mechanizmu rynkowego niezbędny wydaje się mechanizm koordynacji społecznej, obejmujący społeczną politykę makroekonomiczną, w tym społeczną proces planowania ogólnonarodowego. W zdaniu poprzednim aż trzykrotnie użyłem przymiotnika „społeczny”. Nie przypadkowo. Jest to celowe podkreślenie, iż nie o jakąkolwiek politykę makroekonomiczną idzie lecz o politykę społeczną właśnie, i nie o każdy (a w szczególności biurokratyczny) proces planowania, lecz o proces społeczny. Prowadzona przez społeczeństwo makroekonomiczna polityka bieżąca powinna korygować wynikające z aktualnych przyczyn niedostatki, których automatyzm rynkowy nie wyeliminuje. Tak np. nieurodzaj czy urodzaj nadmierny nie może powodować perturbacji społecznych lub też gwałtownego polepszenia czy pogorszenia sytuacji pewnych grup (zupełnie przez nie niezastępowanego czy niezawinionego). Konieczne są więc np. ceny pulpowe (system podatkowy, polityka kredytów itp. Proces zaś planowania społecznego (uwzględniający osiągnięcia nauki) ma szansę wyprzedzić tendencje, które później zaszyfują rynek, a zatem i zwiększać efektywność procesu rozwojowego. Typowym przykładem jest tu ochrona środowiska, która nie znajduje przez pewien czas odbicia na rynku, a wówczas kiedy znajduje, koszty jej są już znacznie wyższe niż przy podjęciu antycypacyjnej działalności. Tę rolę planowania rozumieją zresztą rządy wszystkich wysoko rozwiniętych państw kapitalistycznych, które uznały ją za działalność bardzo przydatną także w tamtym systemie.

Sławomir G. Kozłowski

Eskalacja terroryzmu w zakresie środków działania to przede wszystkim konsekwencja postępu technicznego. Czy istnieje jednakże jakaś eskalacja odnośnie obiektów terrorystycznych zamachów? W odczuciu społecznym chyba tak. Zamachy na to, co określane jest mianem świeckiego, np. władza, wywołują jakby mniejsze wrażenie od zamachów na to, co sakralne (religijne). W polityce dotyczącej tego, co świeckie, granice między dobrem a złem bywają często zamazane, natomiast w działalności religijnej rysują się nad wyraz ostro. Z tego też względu tak powszechne i głębokie potępienie wzbudził akt terrorystyczny skierowany przeciwko głównej kościoła katolickiego. Był to bodajże pierwszy udany akt terrorystyczny skierowany przeciwko zocum, toteż terroryzm przekroczył kolejną granicę. Terrorysta, kierowany okrutną fantazją, a może i fanatyzmem wyznawcy islamu zaniepokojonego ogromnym rozwojem chrześcijaństwa, ugodził w symbol etycznego dobra ludzkości, a przez to jakby w ludzkość samą. Gdzie więc szukać granic eskalacji terroryzmu w zakresie wartości, przeciwko którym się zwraca?

Każda epoka tworzy własne obszary obaw, lęku i strachu. W naszych czasach obszary te, w odróżnieniu np. od metafizycznych spekulacji wieków średnich, są konkretne i materialne. Są to przede wszystkim obszary groźby atomowej, groźby głodu i przeludnienia, groźby wyniszczenia naturalnego środowiska człowieka. Na tym tle groźby terroryzmu wydają się jakby mniejsze, a jednak wywierają niezwykle silne wrażenie na tzw. międzynarodowej opinii publicznej. Próbuje wyjaśnić tę pewną anomalie w zakresie percepcji ludzkich obaw, można bronić poglądu, że terroryzm opiera się właśnie na celowym rozbudzaniu strachu, czyli obaw przed złem, które może spotkać człowieka w sytuacjach trudnych do uniknięcia. Dla niemal wszystkich ludzi największym złem jest śmierć gwałtowna, bez wcześniejszego ułożenia swych spraw w opuszczanym ziemskim świecie. Największy strach powoduje możliwość takiej śmierci. Ludzie nie porażeni patologią, w obawie przed gwałtowną śmiercią dążą do pokoju, terroryści stacają się w śmiercionośną walkę. Dla ludzi zdrowych moralnie bardziej pociągające jest dobro, dla

terrorystów większą siłą przyciągającą posiada złoto. Ludzie zrównoważeni skłonni są akceptować co nawyżej strach umiarkowany, niekiedy dobrze służący pokojowemu funkcjonowaniu społeczeństwa; terroryści nie znają umiaru w rozsiewaniu strachu. Strach rozsiewany przez terroryzm wynika z wrogości człowieka do człowieka w odróżnieniu od strachu przed siłami przyrody, urojonymi siłami ludzkiej fantazji czy też mocami nadprzyrodzonymi. Terroryzm, spychając ludzi na krąg śmierci, mimowolnie zmusza do rozważań nad sensem życia.

Terroryzm nie posiada, powtórzmy to raz jeszcze, rozwiniętych ideologii wyjaśniających jego cele i funkcje. Można o nich snuć jednakże domniemania na podstawie samych aktów terrorystycznych. W płaszczyźnie politycznej zmiernie często do osłabienia wpływów określonej władzy. Istnieją przy tym zasadne przypuszczenia, że terroryzm polityczny nie służy swoich planów, gdyby nie mógł liczyć na wsparcie wpływowych czynników nawet pośród samego aparatu państwowego. Jeśli gniazdem terroryzmu staje się władza państwowa, niknie granica między terrorem a terroryzmem, a władza traci moralną legitymację.

Oczekuje odpowiedzi pytanie, na ile rozwój terroryzmu wiąże się z tymi ideologiami politycznymi, które pochwalają różne postacie walki jako sposoby przeobrażenia społecznych. Terroryzm wciśka się pomiędzy konflikty wyrastające z trójbiegunowego układu sił we współczesnym świecie. Odrębne miejsce wśród przyczyn eskalacji terroryzmu zajmuje filozofia życia jakościowo coraz to wyższego. Zaleca ona życie nawet krótsze, ale intensywne, pełne różnorodnych doświadczeń, zamiast życia wprawdzie długiego, ale monotonnego, czy też wręcz smętnego. Terroryzm wskazuje środki do gwałtownego osiągnięcia coraz to innych celów, nawet za wszelką cenę. Ta prymitywna forma rebelii społecznej spycha jej zwolenników ku regresywnym sposobom zachowania, stając się czymś tak bardzo irracjonalnym, że aż rozum przestaje być skutecznym narzędziem jej percepcji. Wtedy też rośnie waga uczuć i emocji ludzkich, zdolnych przecież także do wyrażania protestu i potępienia.

Roman Tokarczyk

KRONIKA

● Edward Osobka-Morawski uczestniczył w lubelskiej sesji naukowej „Związek socjalizmu z demokracją jako tradycja PPS. Polska droga do socjalizmu w świetle doświadczeń 100 lat polskiego ruchu robotniczego”, którą zorganizował Komitet Uczelniany PZPR w UMCS. „Tygodnik Zamajski” rozpoczął druk pamiętników przewodniczącego PKWN.

● Profesor Andrzej Jakliński został wybrany rektorem Akademii Medycznej w Lublinie. Minister sprawiedliwości odwołał, dziękując za dotychczasową pracę, Ludwika Przysiężaka ze stanowiska prezesa lubelskiego Sądu Wojewódzkiego, a Zarząd Regionu Środkowo-Wschodniego NSZZ „Solidarność” zawiesił redakcję swojego „Biuletynu”.

● Teatr im. J. Osterwy przygotował premierę „Marii Stuart” wg Juliusza Słowackiego. Gościnnie reżyseruje August Kowalczyk.

● 80 paczek proszku do prania, 1600 papierosów marki „Popularne”, a może i nawet papier toaletowy — to wszystko padło łupem tłum klientów pawilonu GS w Horodole, który podniecony widokiem tych wartości przewrócił ładę sklepową i jął się rabunka. Milicjanci czytają gazety i oglądają telewizję, więc nie interweniowali. Dochodzenie przeciw trwa.

● 300 włamań do mieszkań w minionych czterech miesiącach, mordobicia, awantury rodzinne oraz restauracyjne, kolejka do łabu wytrzeźwień (rezultat częścicowej prebiegłości) — oto pejzaż codziennego współczesnego Lublina. Pray ul. Rzeckiego zdjęto „Polonezowi” wszystkie koła — 20 m od okien właściciela pojazdu i chyba bez użycia lewarka.

● Lubelscy konserwatorzy pracują w Wietnamie oraz Związku Radzieckim, PKZ

twierdzą, że wychodzi to na zdrowie naszym zabytkom.

● „Nie czujemy się skompromitowani i nie mamy sobie wiele do zarzucenia” — powiedział w wywiadzie prasowym E. Bala-wajder, sekretarz lubelskiego TWP, instytucji krytykowanej ostro w skali krajowej. Cate zło, dodał działacz, szło „z góry”. Jak to zauważył robotnik ze Szczecina, Polska jest krajem zatrudnionych, a nie pracujących.

● „Polska literatura emigracyjna” — to tytuł niezwykle ciekawej sesji, zorganizowanej 16 czerwca przez Lubelską Sekcję Klubu Zagadnień Polonijnych SDP, Zakład Duszpasterstwa i Migracji Polonijnej KUL oraz Polonijne Centrum UMCS. 3 referatów.

● II nagrodę Klubu Zagadnień Polonijnych przy ZG SDP w Warszawie za najlepsze publikacje o tematyce polonijnej w prasie, radio i TV otrzymał Ireneusz J. Kamiński, autor reportażu z USA, które „Kamena” drukowała w minionym roku.

● W lubelskim BWA otwarto interesującą wystawę „Grupy Krakowskiej”. Przy okazji informujemy, że nowym szefem tej placówki wystawienniczej został Andrzej Mroczek, dotychczasowy kierownik galerii „Labirynt”. Trafny wybór, nie ma co mówić. W swojej dość długiej biografii BWA na ogół nie miało dotąd szczęścia do sztów.

● W Tomaszowie Lubelskim odtworzony zostanie pomnik Tadeusza Kotłuszki, wzniesiony w roku 1931, rozebrany przez Niemców w 1940, a potem jakby zapomniany.

● Donosimy z opóźnieniem — nasza wina — że Lublin jest jednym z nielicznych dużych ośrodków w kraju, które nie zdobyły się na stanowisko Architekta Miejskiego.

● 27 maja br. zmarł emerytowany profesor zwyczajny, były długoletni kierownik Zakładu Geografii Fizycznej UMCS, wybitny naukowiec i człowiek wielce szanowany dla uczelni — Adam Malicki.

OKOLICE SZTUKI

Picasso i figi

W MUZEUM Okręgowym w Lublinie sporo ludzi: 19 maja otwarto tam dużą wystawę ilustracji i grafiki książkowej klasyków europejskiej sztuki nowoczesnej, współpracujących swego czasu z głośnym wydawcą paryskim Tériade. Wabią ludzi na Zamek nazwiska Picassa, Legera, Miro, Chagalla, Corbusiera, Matisa, Giacomettiego, których oryginalne rysunki, litografie i akwaforty pokrywają ściany wysokiej sali jak tapety, stając się powodem różnorodnych satysfakcji i ciekawych komentarzy na temat starego bezwstydnika, Pabla Ruiza z Malagi, oferującego lublinianom swoje rysunkowe refleksje nad dialektyką modelu i artysty, podmiotu i przedmiotu kreacji, nad światłem blażeńskiej niemożności i bujnej kobiecości.

Podobne emocje wśród szerokiej publiczności budziła wystawa erotyków Picassa, przez wiele minionych miesięcy krążąca po różnych miastach, co daje podstawy do przypuszczeń, że zanotowany dotąd w polskiej pamięci statystycznej pod postacią autora gołąbka pokoju, „Guerniki” oraz ofiarodow-

cy własnych grafik i ceramiki na rzecz Muzeum Narodowego w Warszawie, wielki Hiszpan zamienia się oto tylko i wyłącznie w Satyrę Zdumiewającą: takiej niechęci, jak akty Picassa, nie wzbudzały faktycznie odyńskie, na polu pornograficzne fotografie przeróżnych dam, które przez wiele ostatnich lat rozkładały się na łamach naszych ilustrowanych magazynów. Widać prasa ma prawo do trywialności, która nie przystoi takim szacownym przybytkom, jak muzea, gdzie nagość może pojawiać się tylko w formie wysublimowanej przez dystans czasu — np. na obrazach już historycznych. Taki przynajmniej zdaje się być tok rozumowania owych komentatorów, snujących się po muzeum lubelskim z okazji wystawy „Hommage a Tériade” i nie dostrzegających, że rysunki Picassa to poetyckie metafory spraw rozwijających się daleko poza anatomią i filozofią. Czy jest to kwestia braków w edukacji estetycznej, czy sygnałem powrotu czasów, w których dawnym rzeźbom nagich młodzieńców przyprowadzono listki figowe lub inne majtki, nie oszczędzając w tym zaślinionym dążeniu do „moralności” i słynnych fresków Michała Anioła?

Poza tym o wystawie w muzeum można tylko powiedzieć, że jest znakomita: jako zwięzła informacja o charakterze twórczości uprawianej przez wymienionych i kilku innych artystów. Wiele bowiem rysunków i grafik to dzieła samoistne, w pełni przygotowane do egzystencji poza tekstami, które ilustrują. Tak właśnie przedstawiają się barwne litografie Chagalla do „Dafnis i Chloé”,

utrzymane w stylistyce marzenia sennego, wlaściwej dla twórczości malarzkiej syna sklepikarki, czy też jego akwaforty (a nie rysunki, jak mylnie podpisano zestaw) do Biblii, które — dodajmy — cieszą się właśnie dużym wzięciem w USA. To samo można zauważyć w ilustracjach Juana Grisa do poetyckiego tekstu Pierre Reverdy „W słońcu na suficie”, gdzie myślenie kubistyczne pensjonariusza paryskiego Bateau-Lavoir jest aż nadto widoczne.

Do tego typu realizacji nazię pasuje stwierdzenie, jakie kilkadziesiąt lat temu sformułował właśnie Reverdy, zresztą także związany z kręgiem Bateau-Lavoir, rudery, w której od 1904 roku pracował Picasso: „Obraz jest czystym wytworem umysłu. Nie może zrodzić się z porównania, lecz powstaje z zestawienia dwóch rzeczywistości mniej lub więcej oddalonych. Im bardziej stosunki między zestawionymi rzeczywistościami będą odległe, tym silniejszy będzie obraz, tym potężniejszy będzie budził wzruszenie i tym więcej będzie w nim rzeczywistości poetyckiej”.

Wśród nielicznych prób strukturalnego powiązania plastyki z tekstem na czoło wysuwają się litografie Picassa do „Le chant des morts” wspomnianego poety, gdzie wersy wpisane są w plansze dłoni samego artysty.

Naturalnie, te porządkujące uwagi są mało ważne wobec czystej urody sztuki, którą do końca czerwca prezentuje nam muzeum.

IJK

EKRAN I WIDZ

Kazimierz i filmy

KAZIMIERZ nad Wisłą zawsze miał większe szczęście do malarzy niż do filmowców, choć jest przecież równie „fotogeniczny” co „malarzski”. Rzecz charakterystyczna, że pierwszym autorem i producentem filmu rozgrywanego się w scenerii kazimierskiej był nie kto inny jak... Tadeusz Pruszkowski!

Znany malarz, uwielbiany przez młodzież profesor Akademii, zapalony pilot i automobilista, a przede wszystkim wielbiciel nadwiślańskiej „perły Renesansu”, chwycił latem 1926 roku za kamerę. W wyniku czego wkrótce potem powstał film pod ekscentrycznym tytułem: „Szczęśliwy wisielca” czyli Kalifornia w Polsce”. Premiera owego filmu odbyła się 10 grudnia 1926 r. w warszawskim kinie „Splendid” i nawet prasa, m. in. „Wiadomości Literackie”, zamieściła przychylną recenzję. Nie wiadomo natomiast, jak film został przyjęty przez publiczność i jak długo utrzymywał się na ekranie. Można przypuszczać, iż frekwencja była niewielka, jako że od listopada publiczność waliła przede wszystkim na „Trędowatą” Edwarda Puchalskiego z Jadvigą Smosarską i Bolesławem Mierzejewskim w rolach głównych. A był jeszcze na pododrodziu „Czerwony błazen” Henryka Szaro z Robertem Boelke, Norą Ney i Eugeniuszem Bodo, „Za głosem serca” Mariana Dederki, „Cyganka Aza” Artura Twardjewicza według „Chaty za wsią” Kraszewskiego, no i chmara filmów zagranicznych z amerykańskimi na czele.

Dla nas „Szczęśliwy wisielca” jest interesujący dlatego, że Tadeusz Pruszkowski pokazywał w nim architekturę i folklor ówczesnego Kazimierza, a „malarstwo” tematu postanowił oży-

wić, wpisując weń groteskowo-humorystyczną fabułę. Dzisiaj już nikt dobrze nie wie, o co w owej fabule chodziło, i jedynie Irena Lorentowicz, malarzka i znana scenografka, jedna ze studentek Tadeusza Pruszkowskiego, zapamiętała, że „główną rolę”, owego „szczęśliwego wisielca” powierzono późniejszemu znanemu malarzowi Eliażowi Kanarkowi. Przeżywał on w filmie szereg niezwykłych perypetii, m. in. w „dramatycznej” scenerii stał się ze szczętu kamienioloemu koło Albrechtówki. A może to nie był Kanarek, tylko jeszcze ktoś inny? W każdym razie na pewno któryś z uczestników owo-rocznego pleneru, jako że aktorami w „Szczęśliwym wisielcu” byli młodzi malarze i malarzki, m. in.: Marian Szymanowski, Janina Konarska, Teresa Roszkowska, Eliaż Kanarek. Scenariusz napisali Henryk Jaworski i Feliks Topolski, a reżyserował — ma się rozumieć — Pruszkowski. Szkoda, że kopia filmu — zapewne jedyna — zaginęła bezpowrotnie.

W roku 1936 w scenerii kazimierskiej został nakręcony film J. Nowiny-Przybylskiego i Józefa Greena „Judel gra na skrzypcach”. Była to komedia muzyczna (kino wkroczyło już w swój okres dwukolorowy) o czterech wędrownych grajkach żydowskich. Partnerowała im aktorka amerykańska Molly Picon. Jak większość produkowanych wówczas w Polsce filmów mówionych po żydowsku, „Judel gra na skrzypcach” zwracał ogromną uwagę na sprawę folkloru i tradycji, dla nas byłby więc dzisiaj szczególnie cennym dokumentem dotyczącym żydowskiej społeczności ówczesnego Kazimierza nad Wisłą. Warto tutaj powtórzyć za prof. Jerzym Toeplitzem, że w latach trzydziestych Polska była jedynym krajem na świecie regularnie produkującym filmy mówione po żydowsku.

Po wojnie pierwszym reżyserem-fabularzystą, który zawiązał do Kazimierza, był Janusz Nasfeter. Tutaj właśnie, w 1960 roku, kręcono zdjęcia plenerowe do jego dwunowelowego filmu o tematyce dziecięcej, „Małe dramaty”. Pierwsza nowela nosiła tytuł „Karuzela”; między Domem PTTK a Al-

brechtówką wybudowano wówczas „wesołe miasteczko” z karuzelą, huśtawkami i strzelnicą, i wielu ówczesnych lubelskich i warszawskich studentów dorobiło sobie w nim, w charakterze statystów, na pobyt wakacyjny w Kazimierzu. Druga nowela, „Upadek milionera”, rozgrywała się już na uliczkach i wśród domów samego Kazimierza; oprócz aktorów dziecięcych zagrani w niej m. in.: zawodowi aktorzy z lubelskiego Teatru im. Osterwy — Halina Przybylska i Andrzej Balcerzak.

„Małe dramaty” zapoczątkowały przyjazdy ekip filmowych do Kazimierza. Choć częściej miasteczko nad Wisłą było bazą wypadową filmowców w okoliczne tereny, niż miejscem, w którym toczy się akcja filmu. W okolicach Kazimierza Stanisław Jędryka kręcił w latach sześćdziesiątych film dla młodzieży oparty na jednej z książek Janusza Nienackiego o przygodach „Pana Samochodzika”; w końcu lat siedemdziesiątych Grzegorz Lassota realizował tutaj jeden z odcinków telewizyjnego serialu „Wielkie oszustwa świata”, zatytułowany „Mistrz zawsze traci”. Kazimierz został jednak wówczas ucha-rakteryzowany na belgijskie, bodajże miasteczko. Latem ubiegłego roku w Kazimierzu pojawiła się ekipa filmowców radzieckich; kręcono sceny do filmu rozgrywanego się w latach II wojny światowej. Ostatnio realizowano zdjęcia filmowe w domu Michalaków przy ulicy Nadrzecznej.

Kazimierz często pojawia się na ekranie telewizyjnym, zagląda tutaj nierzadko Polska Kronika Filmowa, szczególnie w czasie imprez i festynów ludowych, albo tak, ot, przypadkowo, żeby skrócić temat: „Wiosna” czy też: „Zima w Kazimierzu”. Od lat jednak Kazimierz nie zainteresował nikogo z dokumentalistów jako miejsce, gdzie za dekoracją zbudowaną z renesansowych kamieniczek i śródziemnomorskiej przyrody toczy się życie złożone z problemów społecznych, budowlano-mieszkańczych, konserwatorskich. Można tutaj znaleźć niejedną temat godny ostrej kamery Marcela Lozińskiego lub Krzysztofa Kieślowskiego.

M. D.

LISTY DO KAMENY

Szanowny Panie Redaktorze, zdecydowałem się napisać do Pana z nadzieją, że być może uzna Pan za słuszną używającą autorzytetu w następującej sprawie: od dłuższego czasu sobotnio-niedzielnym „Kurier Lubelski” zamieszcza historyjki kryminalne w tłumaczeniu Jana Noga. Pochodzą one ze zbiorów A. Hitchcocka i ukazują się w piśmie zachodniopomorskim, głównie w dostępnym u nas tygodniku „Bunte”. Nie wypowiadając się na temat aspektów prawnych publikowania tych tłumaczeń, chciałbym zwrócić uwagę Pana Redaktora na ich słabą językową. Moim zdaniem p. J. Noga legitymuje się taką znajomością języka niemieckiego, która w żadnym stopniu nie powinna go upoważniać do występowania w roli tłumacza. Być może, trudno było na to wpisać komuś w „Kuriera”, kto angażował tego pana. Dziwię się jednak wiecej, że nie zwrócił uwagi na równie wielką nieudolność p. J. Noga w postępowaniu się językiem ojczystym. Żeby nie być gołosłownym, przytoczę dowody. „Kurier Lubelski” z 29-30.III br. (podkreślenia moje):

„I tak Porter nie miał nie przeciwko temu, że były kolegi szkolni, w ubraniu z szan-ki (i) przysiadł się do jego stołu”.

„Wciąż natrysk, delektował się nim długo i powoli i pozwolił wodzie spryskać walizki lokatora w pokoju, potem użył jego drugi, nie używany jeszcze ręcznik”.

„A pan i tak nie był tutaj”.

„Czy to trochę nieprzyjęte? — zapytał człowieczek”.

„Kilka miesięcy temu jego nazwisko robiło szpalty w gazetach”.

„Wiesz, Porter, ci superzrzesywni faceti znajdują to zabawne, jeśli im ktoś...”

Nie wiem czy udało mi się Pana przekonać ale zapewniam Pana, że jestem w posiadaniu jeszcze lepszych „kwiatków” z poprzednich tłumaczeń. Moim zdaniem p. J. Noga musi mieć niezłe „chody” w redakcji „Kuriera”, skoro tolerują mu taką amatorkę.

Jeśli idzie o wspomnianie „ubranie z szan-ki”, to wygląda na to, że p. J. Noga albo nie ma większego słownika niemiecko-polskiego, albo jest za leniwy, żeby do niego zajrzeć. Dał temu dowód, tłumacząc wyjątkowo nieudolnie niemieckie wyrażenie idiomatyczne: „Anzug von der Stange”, czyli po polsku: gotowe ubranie, i pomylić, że naokoło tytułu absolwentów filologii obcych bez zatrudnienia zgodnego z wykształceniem!

(Nazwisko i adres do wiadomości redakcji)



Hiszard Ch. Losice. Tylko na udeptanym gruncie niniejszego kącika gotów jestem podjąć z Panem potyczkę o kryteria i tylko z absolutnej niemożności sprostania wszystkim próbom o ocenę listowną. W Pańskiej reakcji na poprzednie uwagi błąka się

właśnie to, co nazwałem — pod adresem innego autora — w poprzednim numerze. Tym czynem jest agresywność, poczucie tendencyjności i niekompetencji wszelkich ocen negatywnych, a także oskarżenia o coś gorszego „o protekcję i wstawianiotwa”. Przejdmy do cytatów z listu: „Razi Pana „naiwny patos” i „krzykliwe słowa” — czyżby Pan nie wiedział, że od wieków stoi nimi poeta? Rozwijając Pana zarzut należałoby do redakcyjnego kosza wyrzucić niemal cały dorobek twórcy — takich poetów jak Iwaszkiewicz czy Miłosz. Wszak pełno w ich utworach „miłości i rozpacz”, „nadziei i bólu”, smutku i etc”.

Otoż dla mnie stanowi absolutną nowość Pańska informacja, wedle której poeta od wieków stoi na naiwnym patosie i krzykliwych słowach. Nie zaskakuje mnie powoływanie się w tym absurdalnym kontekście na Iwaszkiewicza i Miłosza — taki to już los Wielkich i Największych — że przy-

pisuje się im cechy dokładnie im obec czy wręcz znienawidzone odkrywa nieistniejące tendencje czy przekonania. To przecież Miłosz, którego poeta konsekwentnie sublimowała się w stronę ascezy słów i wszelkich środków poetyckiego wyrazu, powiedział „W Królu Popielu”:

„Człowiek mówiąc nie powinien używać słów dla niego drogie”. Szacunek dla słów i uczuć jest dlań szacunkiem dla poezji: „Wierzę wołno pisać rzadko i niechętnie”. („Ars poetica”)

Gotąco polecam Panu te deklaracje Miłoz. I nie tylko te wersy, lecz większe fragmenty jego twórczości. Ona uczy wiele, a już szczególnie — skromności. Nadesłany utwór Pana „O roku ów 89-ty” byłby ani gorszy i ani lepszy od innych o tym temacie, gdyby nie frazy w rodzaju:

„Je zatroskane czoła w olśnieniu doznają wektor

a zaciśnięte dłonie znów rytmem pracy zatańczą

czy też „entorzedny teatr papierowy”, „promienie jutra” lub pięta historii”.

Marian B. Stalowa Wola. „Czuje” Pan przyrodę, czuje też wiersze pełne wzruszenia i zasmuchanie, lecz realizacja pełna naiwnych niezręczności. To samo dotyczy wierszy pozostałych.

Marian K. Cierpi Pan na osobliwą erupcję. Był nie rzec — biegunem metafor i przenosi. Stają się celem, zbiorem ornamentów, mist być narzędziem używanym i umiarem. Celem mogłyby pozostać tylko wtedy, gdyby — dostatecznie zreczne, nowe, pośne iadne — sięwały się zwarta poetycka całość.

Stawomir W. Siedlec. Nie ma to jak dobra frazka:

Mamy dziś zasłużonych mrowie Budowniczych Polski Willowej.

H.P.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wasniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechcysz-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mankowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasinski, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Palak (kierownik działu literackiego), Waldemar Stepien (fotoreporter), Redaktor techniczny — Ewa Bybel, korektor — Marianna Obłoz.

Informacji o warunkach prenumeraty udziela Oddział RSW „Prasa — Książka — Ruch” i Urząd pocztowy. Cena prenumeraty rocznej — 78 zł. Prenumerata za granicą wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 23, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201943-139-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zdecydowanych indywidualnych i o 100 proc. dla decydujących instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w poniedziałki w godz. 10-12 i piątki w godz. 14-15.

Wydawca Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 8 tel. 253-80

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-1108 Nr Indeksu 20731 Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 1/3

Telefony: sekretariat-redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 214-03, dział publicystyki i literacki 275-35

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-029 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

N-1.